W NUMERZE: Socjologia niepokoju ■ Wieczór ■ Małe, ale ważne ■ Opieka bez opieki ■ Światopogląd poetycki Stanisława Czernika ■ Poezja ■ Recenzje ■ Felietony

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 38 (1241) ROK XXIV | 20 WRZEŚNIA 1981 R. | CENA 7 ZŁ

Foto: R. Łucyszyn

„Węgry (...) efekty osiągnęły nie tylko dzięki małej mechanizacji, ale przede wszystkim dlatego, że zobaczyli, iż obok dużych gospodarstw doskonale mogą prosperować małe..."

„MAŁE ALE WAŻNE" — CZYTAJ STR. 6

KONRAD FREJDLICH

ROZDANIE KART

Beztroski bobas, ubrany w koszulkę z nadrukiem „Solidarność", patronował z barwnego plakatu I Krajowemu Zjazdowi Delegatów największego w naszej historii związku zawodowego, który zrodził się bezpośrednio z sierpniowego protestu robotników Wybrzeża, popartego falą strajków w całym kraju. Dziś NSZZ „Solidarność" ma już za sobą blisko rok faktycznego istnienia, rok ważkich doświadczeń, w których troska przemieszana jest mimo wszystko z nadzieją. Polski fenomen, zadziwiający ale i niepokojący cały świat, okazał się zjawiskiem trwałym, choć wciąż wystawionym na rozmaite niebezpieczeństwa. Strajkowy rodowód wielomilionowej organizacji zadecydował o jej charakterze i jej głównie rewindykacyjnym programie, formułowanym w toku rozwiązywania społecznych konfliktów. Dlatego w działaniach „Solidarności" przeważają działania spektakularne, rzutujące na pewną powściągliwość w szarej, codziennej pracy statutowej. Inaczej być zresztą nie mogło, wobec nie załatwienia do końca spraw wywołanych publicznie przez Sierpień, które przesuwają się w czasie. Nawet tak oczywisty problem jak dostęp związku do środków masowego komunikowania się, nie znalazł dotąd sensownego rozstrzygnięcia, satysfakcjonującego obie strony.

Zjazd w hali gdańskiej „Olivii" rozpoczął się zresztą od ostrego konfliktu na tym tle, a pretekstu dostarczyła sprawa telewizyjnej transmisji z obrad. Obie strony, rządowa i związkowa, okazały się nieprzejednane, a oliwy do ognia dolała relacja z konferencji prasowej KKP z nierzetelnym wprowadzeniem red. Mokrzyszewskiego. Nie było to zresztą jedyne źródło zapalne, kładące się cieniem na obradach. W momencie rozpoczęcia obrad trwał wciąż jeszcze konflikt w zakładach graficznych w Olsztynie i Rzeszowie, nabierały także dramatyzmu wydarzenia w hucie „Katowice". Wreszcie prokuratura bydgoska dość nietaktownie ogłosiła swój komunikat o umorzeniu śledztwa w sprawie prowokacji na marcowej sesji WRN tuż przed rozpoczęciem obrad zjazdu, jakby komuś zależało, aby ten nabrzmiały ślimaczący się problem stał się jednym z zapalnych punktów porządku obrad. Na szczęście tak się nie stało, zwyciężył rozsądek delegatów, czego wyrazem był kolportowany wśród dziennikarzy druk satyryczny w formie klepsydry o czarnych brzegach z charakterystycznym napisem: „Dn. 31.VIII.1981 r. po długim i nieudolnym śledztwie pękła ze śmiechu Sprawiedliwość po zapoznaniu się z treścią po-

Dalszy ciąg na str. 3

SOCJOLOGIA NIEPOKOJU

ZJAZDOWY SLALOM

Rwąca rzeka. Ani jej zgłębić, ani obejść. Można tylko przepłynąć, po wierzchu, wpław, po brodzie — do tego się nająłem, zdradzając socjologię dla dziennikarstwa. Czuję się teraz jak chirurg, który wbrew zawodowej etyce, ma zoperować jednego z członków własnej rodziny. Chciałbym, żeby operacja się udała, ale drży mi ręka. Prawie wszystko, co tu napiszę, nie jest moje. Ich myśli wydają mi się ciekawsze, niż własne.

Socjologia to to, czym zajmują się socjologowie. Nieważne, co socjologowie mają w głowie, ale to, co artykułują publicznie — stąd Zjazd. W latach stalinowskich socjologia formalnie nie istniała, a opasła encyklopedia z tamtego okresu głosiła, że jest ona nauką burżuazyjną, wrogą ideologicznie ustrojowi socjalistycznemu. Profesorów odkurzających książki w bibliotekach nawet bliscy znajomi omijali wówczas, jak zadżumionych. Nic więc dziwnego, że w 1957 roku powracali na katedry w glorii, chwale i nadziei. Ta ostatnia nie trwała jednak długo, okazało się bowiem, że istnieją obszary zastrzeżone dla badań: zjawiska polityczne. Nie badano więc polityki, a kulturę polityczną, nie badano praworządności, choć istniała socjologia prawa. Twórczy sceptycyzm wobec rzeczywistości nigdy ich jednak nie opuszczał, stąd dziś nie mają większych kłopotów z rozpoznaniem i nazywaniem mechanizmów, w których tkwili.

NOTATKI Z REFERATÓW

Lata siedemdziesiąte

Wg W. LAMENTOWICZA (Wyższa Szkoła Nauk Społecznych):

Interesy zinstytucjonalizowanej władzy, jakie panowały w naszym systemie, wymagały sformalizowanej struktury, zerwania kontaktów z „zewnątrz", dominowała w nich: metaforyczność, niejasność, tajemniczość artykulacji własnych interesów. Ponieważ nie można było publicznie wyrazić swojej niechęci czy dezaprobaty do osób personalnie (niemożliwość zaistnienia frakcji), rozwijał się system gabinetowo-korytarzowo-szeptany — rodziły się koterie. „Liczymy się tylko my, tu i teraz". Zamiast jasno określonych kryteriów przynależności grupowej, funkcjonowało: swój chłop, z nim można wszystko załatwić, równy facet — i nikt już nie pytał, co to oznacza. Owe nieformalne związki miały jeszcze jedną kolosalną „zaletę", ponieważ formalnie nie istniały, nie podlegały żadnej kontroli. Interesom instytucjonalnym sprzyjały: 1. niejawność życia, 2. słabość opinii publicznej, 3. niczym nie ograniczony monopol na władzę, 4. doktrynalnie uwarunkowany rytuał — nie wypada zachowywać się na luzie, napuszeni prominenci przed kamerami TV. Efekt — zderzenie się różnych etosów, szybkiego awansu społecznego, plebejskości.

Wg J. DRĄŻKIEWICZA (Uniwersytet Warszawski):

Istniały więc kliki w aparacie władzy, istniały również w administracji gospodarczej. Jedne branże były silniejsze, inne słabsze. Czy istniały tu jakieś stałe prawa? Zawsze silne były — górnictwo, hutnictwo, przemysł maszynowy. Ale zawsze słaby — przemysł lekki, mimo tego, że przynosił realne dochody. Nie decydowali o tym liderzy, bo ci się przecież zmieniali. Decydowała przystawalność branży do globalnej opryki, np. przemysł samochodowy. Dużym wzięciem cieszyły się wielkie inwestycje; dawały prestiż, stwarzały możliwości łatwiejszego manipulowania masą ludzką, przynosiły korzyści dewizowe.

Wg S. WIDERSZPILA (Wyższa Szkoła Nauk Społecznych):

Styl, filozofia i praktyka sprawowania władzy pozostawały nie zmienione od lat 50. Dalej funkcjonował centralno-biurokratyczny sytem nakazowy. Robotnicy, formalnie co prawda, byli właścicielami środków produkcji, ale nie mieli żadnej kontroli nad wytworami swojej pracy.

W latach 70 socjologowie nie byli jedynie niemymi świadkami narastającego dramatu. Jeżeli sięgniemy do listów protestacyjnych, petycji, do działalności Towarzystwa Kursów Naukowych i DiP, to wszędzie tam znajdziemy ich nazwiska. Polskie Towarzystwo Socjologiczne było w tym okresie reprezentantem protestu środowiska. Socjologia kryzysu doprowadziła do weryfikacji jej własnego obrazu w latach 70. Że nie umiano przewidzieć daty wybuchu? Że wszystko przebadano, ale nie potrafiono

Dalszy ciąg na str. 5

SZESNAŚCIE LAT

Tomasz Soldenhoff

20 sierpnia br. w Lanckoronie pod Wadowicami zginął w wypadku samochodowym reżyser i aktor Witold Zatorski. Stało się to niemal w rocznicę śmierci Konrada Swinarskiego.

W umysłach ludzi teatru oba te fakty połączyły się mimowolnie. Witold Zatorski (właściwe nazwisko Wacław Witkowski) miał 44 lata, niewiele mniej niż Swinarski, gdy zginął w katastrofie samolotowej. W obu przypadkach śmierć przyszła w pełni twórczego rozwoju, u progu teatralnego sezonu — w chwili, gdy na scenach zaczynały życie nowe inscenizacje. Obu artystom nie dane było ich ukończyć.

Zatorski rozpoczął próby *Świętoszka* w krakowskim Teatrze Starym, z którym miał związać się bliżej od nowego sezonu. Równocześnie w Teatrze Dramatycznym, gdzie pracował etatowo od września 1978 r., przygotowywał *Szkarłatną* wyspę Bułhakowa. W pamięci warszawskich widzów zdążył już zapisać się kilkoma udanymi premierami: *Kubusia Fatalisty* (300 przedstawień od 1976 r. do dzisiaj!). *Mizantropa, Skiza...*

Ale szczególne powody do pamięci o Nim mają łódzcy widzowie. *W Łodzi urodził się i spędził większość swego twórczego życia.* Szesnaście lat, jeśli policzyć od daty aktorskiego debiutu w Teatrze Nowym w listopadzie 1960 r. (Lucjusz w „Juliuszu Cezarze" Szekspira), za pierwszej dyrekcji K. Dejmka.

Tych lat będzie więcej, gdy dodamy jeszcze studenckie — przeżyte na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej im. Schillera, który ukończył w 1960 r. z wyróżnieniem i gdzie zresztą od 1965 r. pracował przez kilka lat jako pedagog (od zeszłego roku natomiast prowadził ćwiczenia reżyserskie w warszawskiej PWST; i tej działalności nie zdążył już jednak rozwinąć).

W łódzkim Teatrze Nowym w latach 1960—1970 zagrał Zatorski 38 ról (m. in. *Ucznia w „Fauście" Goethego", Wacka w „Wicku i Wacku" Przybylskiego). W latach 1967—76 wyreżyserował samodzielnie 13 sztuk; przy 5 dalszych współpracował — z T. Mincem, J. Kłosińskim i Z. Hübnerem,* do których większość projektów scenograficznych stworzyli: Iwona Zaborowska (8) i Henri Poulain (3). Po jego śmierci ktoś westchnął, że była to pechowa „trzynastka". Z pewnością, jeśli uświadomimy sobie, że rozstając się przed 5 laty z Zatorskim straciliśmy więcej, niż jednego, interesującego reżysera. Po odejściu z Łodzi Dejmka, następnie Jerzego Grzegorzewskiego, była to kolejna zaprzepaszczona w tym mieście teatralna szansa (podobnie jak ostatnio — wyjazd Mikołaja Grabowskiego)...

Dalszy ciąg na str. 8

W październiku odbędzie się IV Triennale Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej — Łódź 81.

W dziale tkaniny unikatowej swoje prace wystawiać będzie 101 artystów z 28 krajów, wśród nich znajdą się m. in. M Schile, A. Lupas, R Heimrat, J. Droppa, A. Munoz, H. Gregor, K. Sekimachi, M Rousseau-Vermette.

KRONIKA KULTURALNA

Tkaniny oceniane będą przez 7-osobowe jury, w którym m. in. wezmą udział: M Constantine, J. Głusberg i W Bertheux. W tegorocznym Triennale nie będzie działu tkanin przemysłowych. Organizatorzy nie mogli zgromadzić dostatecznie reprezentatywnego zestawu tych tkanin.

Triennale towarzyszyć będzie szereg imprez: ogólnopolski przegląd twórczości artystów-tkaczy, indywidualne wystawy J Tworek-Pierzgalskich i A. Brennana.

Od 18 września w Salonie Sztuki Współczesnej (Piotrkowska 86) będzie można oglądać wystawę rysunków Andrzeja Mleczki.

W Ośrodku Propagandy Sztuki (Park im. H Sienkiewicza) czynna jest wystawa rzeźby Bronisława Chromego.

W Galerii Bałuckiej (Stary Rynek) 4 września otwarto wystawę fotografii członków Okręgu Łódzkiego ZPAF.

W Galerii Sztuki (Wólczańska 31/33 czynna jest VII Ogólnopolska Wystawa Pokonkursowa Grafiki.

W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki otwarto interesującą wystawę. Prezentowane są tam prace plastyczne małych piotrkowian. Każdy rysunek (autorzy ich są często w wieku przdszkolnym) opatrzony jest „odautorską" wypowiedzią

Organizatorem ekspozycji jest Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Piotrkowie Trybunalskim Część prac pochodzi z prywatnych zbiorów inicjatorki tej wystawy, Agnieszki Illinicz-Kiełkiewicz, nauczycielki wychowania plastycznego.

Chór dziecięcy Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego im. K Szymanowskiego pod dyrekcją Henryka Blachy brał udział w XXIX Międzynarodowym Konkursie Chóralnym „Guido d'Arezzo" we Włoszech. Łódzki zespół zdobył tam drugą nagrodę. W konkursie brało udział 28 zespołów. Łodzianie występowali również w Padwie.

Państwowe Wydawnictwo „Iskry" ogłasza konkurs otwarty na debiut prozatorski — powieść, tom opowiadań i opowiadanie o tematyce współczesnej. Do konkursu mogą być zgłaszane utwory nigdzie dotąd nie publikowane; dopuszczalny jest także udział tych autorów, którzy mają opublikowaną jedną książkę.

Termin nadsyłania na konkurs prac upływa z dniem 31 maja 1982 roku (decyduje data stempla pocztowego). PW „Iskry" zastrzega sobie prawo pierwszeństwa publikacji prac zgłoszonych do konkursu; honoraria za druk będą płatne według obowiązującej Tabeli Wynagrodzeń Autorskich.

Za najlepsze prace przyznane zostaną nagrody pieniężne.

Skład sądu konkursowego zostanie podany w terminie późniejszym. Prace opatrzone godłem (imię nazwisko i adres autora winny być umieszczone w zaklejonej kopercie z wypisanym na niej godłem) należy przesyłać w 3 egzemplarzach maszynopisu pod adresem: Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 00-375 Warszawa, ul. Smolna 11/13, z zaznaczeniem na kopercie: „Konkurs na debiut".

Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju przy udziale Wydziału Oświaty, Wychowania i Kultury Urz Dz. Łódź-Widzew Dzielnicowej Biblioteki Publicznej Łódź-Bałuty im. S Czernika oraz Koła Młodych przy Oddziale Łódzkim ZLP ogłasza Turniej Jednego Wiersza o Laur Stanisława Czernika — Jesień 1981.

W Turnieju mogą brać udział utwory, które do tej pory nie były nigdzie publikowane i nagradzane w konkursach literackich. Wiersze, oznaczone godłem, należy nadsyłać w 2 egzemplarzach maszynopisu do dnia 30 września 1981 r. z dopiskiem na kopercie: „Turniej Jednego Wiersza". Do prac należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora. Oceny nadesłanych prac oraz rozdziału nagród i wyróżnień dokona Jury złożone z poetów, krytyków, i przedstawicieli organizatorów. Przy zbliżonych wartościach wierszy Jury preferować będzie utwory zawierające te wartości, które do poezji polskiej wniosła twórczość Stanisława Czernika. Ogłoszenie wyników turnieju oraz uroczystość wręczenia nagród odbędzie się 9 października 1981 r. w kawiarni Zakładowego Domu Kultury ŁZPB im. Obr. Pokoju (adres jak wyżej) o godz. 18.00

NAD GRANICAMI

JERZY KATARASIŃSKI

1.

Coraz częściej słyszy się z różnych stron wołania o to, aby jasno określać po jakiej się jest stronie, a ściślej — po c z y j e j stronie się jest. Naród słucha, naród czyta, naród patrzy w swoją historię, która przypomina, że takie wołania kończyły się zazwyczaj jeśli nie tragedią, to przynajmniej dramatami. Ba, gdybyż to jeszcze było wiadomo, gdzie jest jaka i — czyja strona. Różni jednak polityczni hunwejbini nakreślają różne granice, tworzą różne podziały, usiłując narzucić swoje czarno-białe wizje świata. Ten swoisty daltonizm każe dzielić ludzi to na wierzących i niewierzących; to partyjnych i bezpartyjnych; partyjnych i członków „Solidarności", na pytania odpowiadać wyłącznie „tak" lub „nie", bez żadnego „ale". Hybrydy w rodzaju partyjny „solidarnościowiec", czy „solidarnościowiec" partyjny, albo gorzej — partyjny wierzący „solidarnościowiec", lub równie źle — niewierzący „solidarnościowiec" partyjny, nie mogą w takim świecie egzystować — jedna lub druga strona powinna je unicestwić, wyrżnąć, wystrzelać, zanim przyjdzie do rozgrywki ostatecznej i świat kolorowy, zmieniony na czarno-biały, nie stanie się czarnym lub białym w momencie implozji, redukującej sobą wszystkie naraz podziały.

Daltonizm ten, to choroba społeczeństw w w erach kryzysów. Choroba zaraźliwa, wywołująca gorączkę, omamy, agresję. Ona to kazała pędzić czarownice na stosy, nie-hitlerowców do komór gazowych, „odchyleńców prawicowo-nacjonalistycznych" do więzień, a „syjonistów" z posad i z kraju. Teraz przyszedł czas na „komunistów" i na „solidarnościowców". Kto — kogo. Czarnyś ty czy biały? Białyś ty, czy czarny?

Organizm społeczny może się bronić przed tą chorobą jedynie społecznym rozumem. Społecznym myśleniem.

Bardzo nam teraz tego rozumu potrzeba. Oby go nam — przy innych niedoborach — nie zabrakło.

2.

Gdybyż to jeszcze było wiadomo, gdzie jest jaka i — czyja strona. Gdzie dobro a gdzie zło. Gdzie słuszność. Takiego luksusu jeszcze nie mamy, nie ma go zwłaszcza nasze społeczeństwo, które się staje sobą od nowa, szuka swojej tożsamości. A tymczasem już się znajdują tacy, którzy grzmią słowami — hasłami, pobrzękują nimi jak pękiem wytrychów do społecznej świadomości. Takie na przykład słowa, jedne z ważniejszych dziś „Partia", „Solidarność", ustawiane przez nich w opozycji wobec siebie, ponad uchwałami, ponad porozumieniami. A przecież w tej samej partii są Rakowski i jego oponent Siwak. W tym samym związku i Wałęsa i jego oponent Rulewski. Każdy z nich ma co innego na myśli, kiedy mówi o partii, walczącej w sobie z balastem dogmatyzmu, biurokratyzmu, schematyzmu i innych izmów, o związku walczącym w sobie o program, przy którym plączą się te same i jeszcze inne izmy. Nic się jeszcze do końca nie wykrystalizowało, nie zakończyła się dyskusja ani w partii, ani w „Solidarności", ani też między partią a „Solidarnością" — zwłaszcza, że ich zakresy nie są rozłączne. Ba, niejeden członek partii lepiej się dogada z członkiem „Solidarności", niż z członkiem tej samej partii i tej samej „Solidarności".

I to się właśnie nie podoba pewnym grupom w partii i pewnym grupom w „Solidarności", przyglądającym się sobie nawzajem jak w lustrze (gdzie lewo — tam prawo, gdzie prawo — tam lewo), naznaczonym jedną skazą wspólną, owym zaraźliwym daltonizmem, przejawiającym się zwłaszcza w nietolerancji, a mogącym się przerodzić w groźną chorobę społeczną, prowadzącą do przekształcenia linii porozumienia w linię nieporozumień, dramatu, tragedii. Skoro drastycznych podziałów w społeczeństwie jeszcze nie ma, trzeba do nich doprowadzić, lub też wyostrzyć te, które istnieją; skoro zakresy wielu pojęć nie są rozłączne, trzeba je rozdzielić; skoro ludzie jako tako jeszcze się ze sobą godzą, trzeba ich napuścić na siebie, skłócić. (W warunkach, w jakich żyjemy, wiele nie trzeba, abyśmy sobie nawzajem skoczyli do oczu). Po co tak się robi? Tak każe stara rzymska zasada, stosowana przez imperatorów nie tylko rzymskich, udoskonalona nie tylko przez Machiavellego: dziel i rządź.

Tak więc z różnych ośrodków dyspozycyjnych płyną zalecenia, polecenia: rozpoznać każdy błąd przeciwnika; czego nie ma, a jest potrzebne, to zmyślić; co jest małe, to powiększyć, i walić jak w bęben. I tak słuchamy tych popisów perkusyjnych już przez rok z okładem; cichną one niekiedy — gdy trzeba zaczerpnąć oddechu, rozejrzeć się za nowym celem, lub gdy publiczność nie wytrzymuje — aby w kolejnych częściach utworu rozwijać forte z nową siłą. I ludzie przestają wytrzymywać, zaczynają patrzeć na siebie wilkiem, puszczają im nerwy, robią głupstwa. O to właśnie chodzi.

3.

Co to są te „pewne grupy". I tu i tu. O grupach z jednej ze stron pisałem nie tak dawno. O ekstremistach politycznych, gromadzących się wokół i w samej „Solidarności". A w partii? Istnieją oni również, nie tak jak tuż przed IX Zjazdem i w jego trakcie hałaśliwi, działają z większym może rozmysłem, bo i z większym doświadczeniem taktycznym. Są wśród nich ci, którzy wiele już razy hamowali różne odnowy, są ci, których ostatnia odnowa pozbawiła znaczenia, władzy, pozycji społecznej, a i materialnej, są wreszcie i tacy, którym trudno by zarzucić pobudki niskie i interesowne — nie umiejący się znaleźć w nowych czasach, w nowych sytuacjach, w układach społecznych lat osiemdziesiątych. Wszystkich ich jednak jednoczy wspólna, choć wypływająca z różnych motywacji niechęć do innego niż autokratyczny — stylu rządzenia, który wiąże się z przedmiotowym, a nie podmiotowym traktowaniem narodu i społeczeństwa. Takie tendencje są mniej widoczne, co wcale nie znaczy, że — niewidoczne. Przynoszą one partii, która walczy przecież o przełamanie kryzysu zaufania społecznego, szkody być może nie mniejsze, a być może i większe, niż ich pracy do konfrontacji bracia z lustra. Wspomagają ich żadni już tam ekstremiści, ideowi, czy interesowni — lecz po prostu tacy, którzy nie umieją przezwyciężyć w sobie niechęci do jakichkolwiek zmian, skrępowani stereotypami, nawykami, konserwatyzmem jako takim. Wielu ich jest w aparacie kierowniczym różnych pionów i szczebli. Nieumiejętnością operatywnego, samodzielnego działania, przedłużają skutki lat siedemdziesiątych, kładąc jeszcze jeden cień na partię.

Jak na to reaguje społeczeństwo? Warto by sobie, tak naprawdę, zdać z tego sprawę, bo od jasnego rozeznania sytuacji bardzo wiele zależy. Może się mylę, może moje pole obserwacyjne nie jest dostatecznie szerokie, ale moim zdaniem z mniejszym lękiem, a w niemałych kręgach społecznych z pewną sympatią, przyjmowane są działania skrajnych skrzydeł „Solidarności". Bo to jest coś n o w e g o, a nowe niesie, owszem, i niebezpieczeństwa, ale i jakieś szanse, jakieś nadzieje: płonne może, ale jednak... Każdy natomiast gest identyfikowany jako nieprzyjazny odnowie, powstrzymujący proces rozliczeń, zmian, reform, wychodzący z „partyjnej" strony, przyjmowany jest z dużą niechęcią, jeśli nie z wrogością. Bo przypomina to co s t a r e, skompromitowane, odrzucone, do czego ludzie nie chcą wracać.

Dlatego tak ważne jest, aby społeczeństwo mogło wyraźnie widzieć, że partia rzeczywiście i zdecydowanie odrzuca możliwość powrotu do starego stylu rządów, że istotnie jest pierwszą siłą odnowy, że nie chce dzielić narodu, a łączyć go, by uratować kraj.

W tej sytuacji każdy błąd partii (mowa o poszczególnych działaniach poszczególnych ludzi i zespołów) odbija się znacznie większym echem, niż każdy błąd popełniony przez kogokolwiek innego. Dlatego też partia bardzo uważnie powinna patrzeć na siebie, na wszystkich, którzy występują w jej imieniu.

4.

A tymczasem w tak trudnych chwilach i rozsądni tracą i nerwy i głowę.

Czytam *„Stanowisko egzekutywy dzielnicowej organizacji partyjnej Łódź-Górna"* z 7 września br. Wiele w nim słusznych zdań, ale przy nich i takie, które podrywają niejednego czytelnika swoją pochopnością, jątrzącym tonem.

Oto na przykład:

„Potwierdzeniem obaw kierownictwa KKP NSZZ „Solidarność" co do utraty własnej popularności było wystosowanie apelu o pracę członków związku przez 8 wolnych sobót i taktyczne zastrzeżenie usprawiedliwiające z góry tych, którzy go nie podejmą."

Nie chodzi już o domniemania dotyczące intencji KKP. Ale — w jakiej sytuacji stawiają autorzy „Stanowiska" ludzi, którzy stawiają się do pracy, bo akurat są surowce, jest energia itp. Czy chodzi o to, aby nie przychodzili do pracy w te wolne soboty?

Dalej:

„Co jeszcze czeka naród, gdy nadużywając ochrony związku „Solidarność" wyjdą, bądź uciekną z więzień wszyscy przestępcy?".

Czy chodzi na przykład o ostatnie wypadki bydgoskie? MO ma chyba lepsze informacje w tym względzie, a jej przedstawiciele dziękowali „Solidarności" za pomoc w opanowywaniu sytuacji.

I wreszcie koniec. Gdyby co, to:

„Gotowi jesteśmy wezwać członków i kandydatów partii do wystąpienia z szeregów NSZZ „Solidarność".

Mocne to. Jak nożem. Odciąć i koniec. Co jednak od czego odciąć?

Czy „Stanowisko" to zostało podjęte po dokonaniu rozeznania atmosfery panującej wśród członków partii na Górnej?

Zjazd „Solidarności" i wydarzenia przed zjazdem. Nieporozumienia związane z trybem prac komisji sejmowej nad projektem ustawy o samorządzie. Sprawa transmisji telewizyjnej ze zjazdu. (Kto i w czym zawinił, rzecz do dyskusji). Ale — ogłoszenie decyzji o umorzeniu śledztwa w sprawie bydgoskiej. Czy to przypadek, że sprawa ciągnąca się tyle czasu została sfinalizowana (postanowienie nie jest prawomocne) akurat wtedy? To jest jednak polityka i takich przypadków należy unikać, ich skutki są łatwe do przewidzenia. Efekt — gra nerwów doprowadzona do zenitu. Czy komuś jest to w tej styuacji potrzebne? Może. Efekt? — postulat referendum w sprawie samorządu. Efekt? — podbijanie bębenka siłom skrajnym. Czy o to chodziło? Może.

I wreszcie niefortunne, podjęte przez zjazd przeważającą większością głosów *„Posłanie do narodów krajów Europy wschodniej"*, traktowane jako ingerencja w sprawy obcych państw. Ostro dystansuje się od całej sprawy *„Oświadczenie Prezydium ZG NSZZ PPB i SBM"*, w którym związek budowlanych tak uzasadnia swoje stanowisko:

„Każdy naród ma niezbywalne prawo kształtować swoje życie wewnętrzne, w tym również związki zawodowe, zgodnie z własną wolą. I tylko społeczeństwo danego kraju jest uprawnione do oceny swojego ruchu związkowego, do poszukiwania rozwiązań zgodnych ze swoimi żywotnymi interesami".

Zgadzam się, ale i próbuję zrozumieć dlaczego tak się stało, dlaczego „Posłanie", wbrew wszelkim interesom związku, zostało przegłosowane. Czy się nam ono podoba, czy nie, jest jednak faktem, którego nie wystarczy potępić; aby takie fakty się nie zdarzały, trzeba by dotrzeć do ich źródła, do powodów ich powstawania. Czy powodem jest tylko atmosfera przed, w trakcie, i wokół zjazdu, dająca handicap ludziom ze skraja? Na pewno miała ona wpływ na podniesienie tak wielu rąk. Nie wydaje mi się to jednak przyczyną wystarczającą do wywołania takiego skutku. Zadaję sobie inne pytanie — czy do powodów nie należy i to, że niektóre zagraniczne komentarze dziennikarskie o sytuacji w naszym kraju przekraczają niekiedy formułę o nieingerencji i — wywołują sprzeciw? To także jest chyba powód. Kolejny. Może są i inne.

Zrozumieć, to nie znaczy zaakceptować. Błąd nie jest równy błędowi.

5.

Przywykliśmy już do krzyku, do protestów, romantycznych gestów. Ten krzyk słyszą już wszyscy dookoła, ale my — jakbyśmy przestali się rozumieć. A to przecież przede wszystkim m y mamy się ze sobą rozumieć, w n a s z y m języku, w n a s z y m kraju, aby załatwiać n a s z e sprawy. Wbrew daltonistom, ponad wszelkimi sztucznymi granicami, jakie co rusz próbuje się wznosić. Wrzasku na cały świat, jacy to my jesteśmy biedni, ale dzielni, wcale do tego nie trzeba On przeszkadza. Może nas zaprowadzić do sztuki Mrożka „Dom na granicy" (dobry, pouczający spektakl w telewizji).

TYDZIEŃ W POLITYCE

Zainteresowanie, towarzyszące pierwszej części obrad zjazdu „Solidarności" w Gdańsku, przeszło w poruszenie. Stało się to w momencie, gdy zjazd uchwalił „posłanie" do krajów wschodniej Europy. **Ta bezprecedensowa próba wtrącania się w życie innych państw spotkała się ze zdecydowaną repliką naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wywołała sprzeciw u sąsiadów i zdumienie w wielu kołach politycznych Zachodu.** Niektóre gazety zachodnie piszą wręcz „o błędzie pierwszego rzędu", jaki popełniony został przez kierownictwo „Solidarności". Tendencje, jakie zarysowały się na zjeździe — pisze amerykańska UPI — wskazują, że organizacja ta zabiega o konfrontację z władzami i rozszerza swą działalność na sferę społeczno-polityczną... Dla obserwatora z zewnątrz wygląda na to, że związek przyspiesza tę konfrontację przez przyjęcie serii uchwał. A „Times" dodaje: „Radykałowie z „Solidarności" dokonali być może najbardziej bezpośredniej prowokacji..."

W świetle choćby tych opinii wydaje się dość jasne: kto i w jakim celu podsunął zjazdowi taki projekt dokumentu. Dlaczego jednak nikt mu się nie przeciwstawił i dopiero po jego przyjęciu w kuluarach gdańskiego zjazdu rozległy się głosy otrzeźwienia? **„Posłanie" jest na pewno negatywnym faktem międzynarodowym,** szkodzącym Polsce i procesowi socjalistycznej odnowy. Tak ocenia się nie tylko w kraju.

*

W ub. tygodniu na konferencji prasowej sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim oświadczył, że **gotów jest ponownie kandydować** na to stanowisko. Wyjaśnijmy, że kadencja sekretarza generalnego, choć nie jest to określone zasadą, trwa zwyczajowo pięć lat i właśnie wygasa z końcem bieżącego roku. Stanie więc wkrótce sprawa wyboru. Najpierw Rada Bezpieczeństwa co najmniej 9 głosami swych członków, i to bez sprzeciwu wielkich mocarstw, musi dokonać nominacji, a następnie kandydat musi być wybrany zwykłą większością głosów przez Zgromadzenie Ogólne.

Jakie będą kandydatury — jeszcze nie wiadomo. Ale w komentarzach prasowych **prócz Kurta Waldheima** przewijają się dwa nazwiska: młodego afrykańskiego dyplomaty — **Salima Ahmeda Salima,** ministra spraw zagranicznych i byłego ambasadora Tanzanii przy ONZ i **Carlosa Ortiza de Rozasa,** polityka argentyńskiego, obecnie spełniającego funkcję ambasadora w Londynie. Salim, będący rzecznikiem interesów „Trzeciego Świata", może być wsparty przez delegacje państw niezaangażowanych, Ortiz de Rozas może być wygodnym kandydatem dla Stanów Zjednoczonych. Tu trzeba bowiem powiedzieć, iż Kurt Waldheim jest krytykowany w niektórych kołach amerykańskich przede wszystkim za „niepominięcie żadnej okazji" do atakowania polityki Izraela. Czy więc w ONZ rozegra się trudna batalia? Możliwe, chociaż wielu obserwatorów w Nowym Jorku jest zdania, że realne szanse ponownego wyboru, choćby na dwa, trzy lata, ma Waldheim.

*

Uzasadnione, wciąż żywe zainteresowanie Bliskim Wschodem sprawiło, że wizyta izraelskiego premiera w Waszyngtonie i jego rozmowy z prezydentem Reaganem doczekały się wielu komentarzy. **Wynik podróży nie niesie nic dobrego** — amerykańskie i izraelskie interesy zbiegają się do tego stopnia, że Reagan polecił swojemu sekretarzowi obrony przygotowanie planu „strategicznej współpracy", który może znaleźć wyraz w formalnym sojuszu wojskowym. Źródła izraelskie, co więcej, podają, że w następstwie waszyngtońskich rozmów nie można wykluczyć wykorzystania przez Stany Zjednoczone izraelskich urządzeń wojskowych i przeprowadzenia wspólnych manewrów we wschodniej części Morza Śródziemnego.

Tymczasem głosy prasy amerykańskiej nie były życzliwe rozmowom. „New York Times" pisał np.: „Nie możemy nadal popierać Izraela politycznie i militarnie, nie podzielając wraz z nim odpowiedzialności za konsekwencje jego polityki. Już nadszedł czas, aby politykę Izraela przedyskutować publicznie". „Times" zaś: „Faktem jest, że Izrael staje się czynnikiem wątpliwym, a nawet osłabiającym amerykańskie interesy zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i w skali światowej. I winę za to ponosi głównie Begin".

Ale **Begin w rozmowach swój cel osiągnął,** nie troszcząc się o następstwa takich postanowień. Dla rejonu Bliskiego Wschodu z Waszyngtonu nadeszły więc niedobre wieści: przygotowuje się działania, skierowane głównie przeciwko Syrii i Palestyńczykom.

Tymczasem w Egipcie — jak donoszą agencje — nasila się fala represji, zarządzona przez prezydenta Sadata, której celem jest wyeliminowanie przeciwników porozumień z Camp David i rozszerzania amerykańskiej obecności wojskowej w tym kraju. Dotychczas aresztowano ok. 5 tys. osób.

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego) EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA JACEK INDELAK RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter) BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI MAREK MILLER JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Opracowanie graficzne: JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

ROZDANIE KART

Dalszy ciąg ze str. 1

stanowienia wiceprokuratora wojewódzkiego w Bydgoszczy". Humor, choćby czarny, jest zawsze dowodem zwycięstwa rozsądku nad determinacją toteż przytaczam ten fakt dla scharakteryzowania atmosfery zjazdowej, wolnej od akcentów przesady i emocjonalnych reakcji. Właśnie dlatego z widowiskowego punktu widzenia zjazd był zresztą miejscami wręcz nudny, gdyż przeładowany oficjałkami i sformalizowaną dyskusją, w której rzadko dochodziło do swobodnej, spontanicznej wymiany poglądów. Przyjęcie założenia, że w pierwszej turze zostaną załatwione głównie żmudne sprawy statutowe, wymagało od delegatów cierpliwości i skupienia. Trzeba stwierdzić, że nie sprzyjała temu zbyt obszerna, źle nagłośniona hala, w której świeciły łysiny pustych miejsc w górnych sektorach. Wszystko, co interesujące, rozgrywało się właściwie w kuluarach, w bezpośrednich rozmowach delegatów z różnych regionów. Mieli zresztą, w przeważającej większości, pierwszą okazję do wzajemnego poznania, ale ta nieformalna wymiana poglądów budziła zarazem wzajemną podejrzliwość. Wyrazem tej podejrzliwości były anonimowe ulotki z zarzutami manipulacji i nieustanne niemal ataki na prezydium w formie protestów i wniosków formalnych, w których powtarzała się groźba zmiany przewodniczącego obrad. Nawet wnioski formalne trzeba było w końcu sformalizować, wnoszono je na piśmie do sekretariatu zjazdu, aby przyspieszyć tok debaty.

Przewodniczący Regionu Mazowsze, Z. Bujak, którego poprosiłem o prowizoryczną ocenę zjazdu, przyznał, że najwięcej i najciekawiej dzieje się właśnie w kuluarach. Obok ujawnionej płaszczyzny dyskusji wyróżnił płaszczyznę personalnej debaty, widoczną przy okazji zabierania głosu przez poszczególnych delegatów, widomy znak tego, że trwa walka wyborcza. Jej przejawem były spory o skład Prezydium Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Struktura najwyższych władz związkowych budziła zresztą najwięcej kontrowersji. W pewnym momencie rozeszła się nawet plotka, że na tym tle delegacja łódzka zerwała obrady. Jej źródłem było ostentacyjne wyjście przedstawicieli regionu łódzkiego z sali dla odbycia pospiesznej narady i wypracowania wspólnego stanowiska. Ponieważ w chwilę później podobny chwyt zastosował Region Dolnego Śląska zaczęły się rodzić najrozmaitsze spekulacje przerwane dopiero powrotem łodzian na salę obrad. Świadczy to w każdym razie o psychicznej potrzebie zdarzeń zjazdowych w szarzyźnie dyskusji. Może to potwierdzać ostrożnie sformułowaną przez A. Małachowskiego opinię, że to właśnie już w pierwszej części obrad powinny zostać przedstawione społeczeństwu zasadnicze zamierzenia ideowe związku.

Stało się jednak inaczej, mimo ogromnego zainteresowania zjazdem całego kraju. Czuliśmy to zainteresowanie opuszczając loże prasową i obserwując kipiący tłum pod halą „Olivia", który przychodził tu aby zdobyć numer wydawanej codziennie gazety „Głos Wolny" przynoszącej najświeższe relacje z obrad, wędrujący wzdłuż oplakatowanych autokarów z krzyczącymi hasłami, dopominający się u służby porządkowej o transmitowanie debaty na zewnątrz hali. Delegaci nie byli więc sami, ale ten ciężar odpowiedzialności przytłaczał, stąd jałowe często spory o reguły demokracji zamiast samej demokracji, która dusiła się w gorsecie sformalizowania.

Z okazji zjazdu poznaliśmy wreszcie przybliżone rozmiary liczbowe regionów w momencie wyborów. Terytorialna struktura związku sprawiła, że obok organizacji ogromnych, takich jak Górny Śląsk liczący ponad milion członków i Dolny Śląsk dobijający do miliona, przeważają regiony średnie skupiające od 100 do 200 tysięcy ludzi. Łódź plasuje się na szóstym miejscu w kraju, pomiędzy Gdańskiem a Wielkopolską, oscylując w pobliżu pół miliona członków, co wśród czterdziestu dwóch regionów świadczy o jej randze. Ale spora ilość małych struktur związkowych dowodzi, że po prawie rocznym okresie swego istnienia „Solidarność" wciąż jeszcze nie zdążyła się uporać ze sprawami organizacyjnymi, że procesy konsolidacji nie ogarnęły całego, wielomilionowego ruchu. To tłumaczy wybuchy konfliktów lokalnych, których nie są zdolne zażegnać w pore apele KKP. To uzasadnia także życzenia, entuzjastycznie witanego na zjeździe prezesa SDP Stefana Bratkowskiego, trzydziestu dni mądrości i zimnej krwi.

Tej mądrości, z wyjątkiem jątrzącego posłania do robotników Europy wschodniej pozostawiającego niesmak, w zasadzie nie zabrakło, choć zbiorowy rozum zjazdu narażony był na najprzeróżniejsze pułapki i podstępy. Nie znalazł uznania u delegatów wniosek przedstawiciela Gdańska L. Sobieszaka o wykreślenie ze statutu „Solidarności" słów na temat kierowniczej roli partii w państwie. Zbiorowa mądrość sprawiła, że został oddalony wniosek o codzienną mszę polową na sali obrad, mimo uznania dla Kościoła i Episkopatu, gdyż przerost liturgii rzutowałby na roboczy charakter zjazdu wnosząc niepotrzebnie do obrad atmosferę stanu wyjątkowego. Nie znaczy to, że zjazd ustrzegł się pomyłek, o które nie było trudno przy braku doświadczenia i zmęczeniu delegatów. Pewne, zresztą niezbyt istotne uchwały, stojące w sprzeczności ze statutem po prostu anulowano i już nikt nie wracał do tych spraw. To samokrytyczne przyznawanie się do błędów trzeba zresztą zapisać na plus zjazdu, stanowiącego w pierwszej turze próbę generalną przed częścią decydującą, programową i wyborczą, która rozpocznie się w trzeciej dekadzie września.

Wobec przeładowania porządku obrad sprawami statutowymi zjazd nie był w stanie z należytą uwagą ustosunkować się do referatu sprawozdawczego Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność", wygłoszonego przez Andrzeja Celińskiego. Sam referat spotkał się zresztą z krytyką części delegatów, którzy uznali go za zbyt fasadowy. W tym duchu wypowiedział się na łamach „Głosu Wolnego" Aleksander Kania, delegat Regionu Świętokrzyskiego, dla którego najważniejszą sprawą jest czuwanie nad poprawnością reguł życia związkowego, któremu już zaczyna zagrażać biurokracja. Nie było to zresztą zdanie odosobnione: dla delegatów najistotniejszym problemem jest funkcjonowanie wewnętrznych mechanizmów demokracji związkowej, nie tylko poprzez rozwój instytucji formalnych, ale codzienną praktykę będącą ich potwierdzeniem. Stąd to wyczulenie na wiarygodność i niemal fobia manipulacji. Rzecz w tym, że referat sprawozdawczy wywołał tylko szczątkową dyskusję, gdyż właściwa debata naszpikowana była już to pozdrowieniami od delegacji zagranicznych i wypowiedziami gości z kraju, już to szczegółowymi opiniami ekspertów, zresztą chłodno przyjmowanych przez salę, która sama uważała się za najlepszego rzeczoznawcę. Do zasadniczej wymiany poglądów właściwie nie doszło. „Głos Wolny" skomentował to cierpką uwagą: „Znany nam z plakatu roczny bobas „Solidarności" ma już zęby, ale zda się, że jeszcze gaworzy".

Ten przyjęty bez entuzjazmu referat jest mimo to dokumentem znaczącym, swoistym raportem z poczynań KKP, nie pozbawionym akcentów samokrytycznych:

„Mamy pełną świadomość, że jesteśmy dopiero na początku obranej przez nas drogi, i że to wszystko jest przed nami. Konkretne rezultaty naszych działań w zestawieniu z naszymi pragnieniami i nadziejami mogą zdawać się nikłe i niewystarczające".

Nieustanne konflikty, długi rejestr spraw spornych rozwiązywanych w warunkach najwyższego zagrożenia, na pewno nie sprzyjał normalnej pracy związkowej. Są na tej liście napięcia wywołane opóźnianiem rejestracji „Solidarności", są akcje protestacyjne w postaci okupowania budynków państwowych, są głodówki, dla wzmocnienia żądań, są wreszcie strajki paraliżujące życie całych regionów i dramatyczne wydarzenia bydgoskie aż po ostatnie marsze głodowe. Nie wszystkie z tych działań, jak choćby sprawa wolnych sobót, były dostatecznie przemyślane, ale i strona rządowa nie pozostawiała zbyt wiele czasu do namysłu. Społeczny dialog, linia porozumienia, z których tak jesteśmy dumni, bo zresztą jest to jedyna możliwa droga rozwoju posierpniowej Polski, zbyt często przeradzały się w spory a nawet kłótnie, w których osobiste ambicje brały górę nad narodowym instynktem samozachowawczym. Dlatego musi cieszyć wyrażona wprost w referacie jako przyjęta strategia działań „Solidarności" zasada rozumnego samoograniczenia żądań. Przyznaje się tam jednak samokrytycznie, że „w uniesieniach walki zdarzało się niekiedy, że niektóre środowiska czy ogniwa związkowe naruszały tę zasadę, ale w zbiorowych działaniach związku, we wszystkich decyzjach w momentach kluczowych konfliktów rozum polityczny brał górę. Chodziło przede wszystkim o to, aby nie utracić niczego z tego, co już uzyskaliśmy, a realizację postulatów społeczeństwa prowadzić w sposób rozważny, aby nie tworzyć groźby destabilizacji układu społeczno-politycznego kraju, a jednocześnie stopniowo realizować program protestów robotniczych. Zachowaliśmy stale poczucie narodowej odpowiedzialności i polskiej racji stanu."

Wszelkie naruszenia tej zasady wywoływały jednak, niekiedy wyolbrzymioną, podejrzliwość drugiej strony, której związek nie szczędzi kłopotów. Ta nieufność, łapanie za słówka, staranne nicowanie każdej inicjatywy, a nawet dmuchanie na zimne, obiektywnie rzecz biorąc utrudnia wprowadzenie reformy gospodarczej, a tym samym przedłuża dotkliwy kryzys ekonomiczny. Mamy tu typowy przykład błędnego koła. Świadoma tej podejrzliwości „Solidarność", z wyjątkiem apelu o przepracowanie ośmiu wolnych sobót, nie podjęła w zasadzie bezpośrednich działań w gospodarce. Nie dopracowała się także, z czego robi jej się nie całkiem uzasadnione zarzuty, własnego programu wyjścia z kryzysu. Nie zdobyła się wreszcie na własny, spójny system reformy, popierając tylko niektóre, społeczne inicjatywy.

„Chcieliśmy — wbrew oskarżeniom — być przede wszystkim związkiem zawodowym — stwierdza referat KKP. — Nie dysponowaliśmy środkami działania. Nie mogliśmy wziąć współodpowiedzialności nie mając wpływu na decyzje. Liczyliśmy na działania rządu. Rząd jednak okazał się niesprawny i dziś sytuacja gospodarcza jest dużo gorsza niż przed rokiem. Jest katastrofalna.

Nie zapominając o tym, że jesteśmy związkiem zawodowym, nie zapominając o ryzyku, jakie niesie bezpośrednie angażowanie się związku w działania gospodarcze, musimy jednak na zjeździe opracować strategię aktywnego działania w gospodarce. Jesteśmy gotowi uczestniczyć w wypracowaniu i realizacji rzeczywistego programu ratowania gospodarki, ale też musimy strzec zasady, którą kierowaliśmy się w ciągu ubiegłych miesięcy: nie wolno podejmować takich środków, które powodowałyby pogorszenie się sytuacji materialnej najuboższych grup ludności, lub też które prowadziłyby do masowego bezrobocia."

Ta wyraźna deklaracja stanowi pewne novum w dotychczasowej praktyce „Solidarności" będąc zapowiedzią intensyfikacji działań pozytywnych. Celowo poświęcam jej tyle miejsca, bo dostrzegam tu ofertę współpracy z rządem, o czym zresztą niewiele mówiło się na zjeździe. Chodzi tylko o to, aby praktyka społeczna nie wykazała, że z jednej strony chodzi tylko o deklaracje, a z drugiej o apele. Znany aforyzm Lecha Wałęsy o dogadywaniu się Polaka z Polakiem nie tylko nic nie stracił na aktualności, ale w tym kontekście może nawet nabrać dodatkowego znaczenia.

Wałęsa, bardzo widoczny na zjeździe, dowiódł zresztą, że nie zamierza pełnić roli dekoracyjnej, domagając się od współkolegów zdecydowanych działań na rzecz wyważonego centralizmu. Z wdziękiem odparował zarzut, że za mało się udziela, robiąc kalambur ze swego nazwiska i sam przeszedł do ataku. Za jego prostym językiem kryją się zazwyczaj głębokie przemyślenia. Spór o model KKP był w istocie walką o jego pozycję w tym organie władzy. Wałęsa opowiedział się za komisją złożoną z przewodniczących najważniejszych regionów „Solidarności", mówiąc już to o generałach, których związek potrzebuje w walce, już to, łechcząc przedstawicieli regionów, o książętach udzielnych pracujących wspólnie na rzecz zjednoczonego państwa. W ostrej opozycji do jego koncepcji stała przyjęta z wielką uwagą propozycja łódzka, ale zdaje się, że Wałęsa ostatecznie zwyciężył, pobijając salę zdecydowanym szturmem.

Trudno oceniać znaczenie zjazdu, który dopiero minął półmetek, świadomie ograniczając obrady do spraw głównie formalnych. To wypracowywanie reguł postępowania ujawniło w każdym razie, że „Solidarność" nie przestała być organizacją żywą, aktywną, żeby nie powiedzieć walczącą. Chce być także organizacją prawdziwie demokratyczną, a to już jest znacznie trudniejsze, gdy wszystkiego trzeba się uczyć. Z przebiegu debaty można by wysnuć wniosek, że w „Solidarności" najmniej jest samej solidarności wobec ścierania różnych grup interesów i ambicji, ale tu łatwo o uproszczenia, gdyż można pomylić solidarność z jednomyślnością, która do dziś wychodzi nam bokiem.

Mimo formalnej przerwy w obradach, zjazd właściwie wciąż się toczy w zespołach problemowych, które podjęły dyskusję merytoryczną. A więc karty, w tym karty wyborcze, zostały rozdane, a za dwa tygodnie będziemy wiedzieli jak nam się sprawdził pasjans w polskim wydaniu.

Świetlny zegar w hali „Olivia" spieszył się o kilka minut, co można wytłumaczyć sobie także symbolicznie. Jeżeli chcemy otrząsnąć się z kryzysu, musimy spieszyć się jako naród w rzeczowym działaniu. Deklaracja „Solidarności" o włączeniu się do realizacji reformy gospodarczej może być zapowiedzią takiej przemiany. Temu celowi służyła uchwała o samorządzie pracowniczym, szkoda tylko, że zaprawiona jednocześnie szantażem wobec Sejmu co dowodzi, że wciąż jeszcze najważniejszą cechą posierpniowej odnowy jest nieufność. Jeśli nie wyzbędziemy się podejrzliwości nawet najsłuszniejsze inicjatywy pozostaną tylko pobożnymi życzeniami. Warto przytoczyć kolejny aforyzm Wałęsy z jego wystąpienia na zjeździe, który choć został użyty w innym kontekście, doskonale może oddawać także specyfikę naszej sytuacji narodowej: „Jeśli sparuje się komara ze słoniem, to komar nie będzie ciągnął". Otóż właśnie: istota rzeczy tkwi w proporcji. Chodzi o to, żeby do komara nie strzelać z armaty, lecz zaprzęgać do wozu dwa konie równo ciągnące ciężar.

Foto: M. Widerkiewicz

KONRAD FREJDLICH

W Łodzi, od 9 do 14 września, trwały obrady VI Zjazdu Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. W poprzednim numerze „Odgłosów" publikowaliśmy jeden z referatów programowych Zjazdu. W bieżącym numerze zamieszczamy referat prof. dr hab. **STEFANA NOWAKA.**

Prof. Stefan Nowak jest przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Socjologicznego i poniższy tekst był referatem inaugurującym Zjazd.

STEFAN NOWAK

STRATEGIA KOOPERACJI CZY KONFRONTACJI?

O stronie objawowej głębokiego kryzysu ekonomicznego, społecznego i politycznego naszego kraju wiele mówić nie trzeba. Jego ekonomiczny charakter określają zarówno krzywe spadku produkcji czy wzrostu zadłużenia międzynarodowego, jak i długość kolejek przed sklepami czy rosnąca liczba sklepów, przed którymi już nawet kolejki nie stoją, bo zapobiega im skutecznie napis „zamknięte z powodu braku towaru". Tym samym jest ten kryzys głębokim kryzysem społecznym, który — wedle jednej z podręcznikowych definicji — istnieje wtedy, kiedy to system społeczny nie zapewnia licznym swoim członkom oczekiwanych warunków życia. Nie muszę dodawać, iż chwila obecna spełnia tę definicję z dużą nadwyżką. Wielkość tej definicyjnej nadwyżki określona jest zarówno przez siłę i masowy zasięg deprywacji podstawowych potrzeb ludzkich, jak przez fakt, że ludzie uważają te potrzeby za zasadne, a źródeł ich frustracji dopatrują w funkcjonowaniu i strukturze systemu, który nie tak przecież dawno ustami swego, dziś już zdetronizowanego klasyka, obiecywał „rosnący stopień zaspokojenia stale rosnących potrzeb materialnych". Jakie są efekty tej frustracji potrzeb ludzkich nie trzeba przypominać w mieście pierwszego chyba od dawna w Europie marszu głodowego kobiet.

Inną ważną stroną tego kryzysu jest kolejny rozpad różnych ważnych funkcji systemu. Czasem łatwo znaleźć ekonomiczne źródła tego rozpadu w spadku produkcji czy importu, choć nawet i wtedy nie sposób domyślić się, dlaczego ktoś wcześniej nie pomyślał, iż autobusy jeżdżą na oponach, a nowoczesny przemysł, w odróżnieniu od średniowiecznego rzemiosła, potrzebuje elektryczności. I wtedy myślenie czysto ekonomiczne nie wystarcza dla pojęcia tego stanu rzeczy. W innych przypadkach ulegają rozpadowi pewne funkcje, mimo iż nie da się dostrzec ich bezpośredniego uwarunkowania spadkiem produkcji czy importu i tu już tylko koncepcje dezintegracji systemu są nam w stanie coś wyjaśnić. Ekonomika staje się u nas coraz bardziej pochodna od socjologii i psychologii społecznej.

Literatura socjologiczna na temat kryzysów i traumatycznych sytuacji społecznych *kładzie silny nacisk na odróżnienie dwóch ich rodzajów.* Pierwszy z nich polega na tym, iż *uwikłana w kryzys zbiorowość zgodna jest w sposobie pojmowania jego genezy, charakteru, oczekiwanego przebiegu i sposobów radzenia sobie z nim. Jest to kryzys w warunkach konsensu społecznego i do tej kategorii zalicza się kryzysy spowodowane klęskami żywiołowymi typu przyrodniczego, powodziami, suszami czy nieurodzajem, jak też i takie, które są spowodowane jawnie zewnętrznym wobec zbiorowości zagrożeniem społecznym. Kiedy natura i geneza kryzysu oraz sposoby radzenia sobie z nim pojmowane są odmiennie w różnych grupach społecznych, wówczas mamy do czynienia z kryzysem w warunkach konfliktu społecznego.* Myślę, że w naszej sytuacji były pewne elementy kryzysu pierwszego rodzaju i że można w nim znaleźć więcej jego cech pojmowanych wspólnie w skali ogólnospołecznej, niż się to potocznie sądzi. Nie zmienia to jednak faktu, iż dominowały nad nim i to od samego początku elementy konfliktowego jego przebiegu. Konflikt pomiędzy aparatem władzy z zorganizowaną od września ubiegłego roku w „Solidarności" niemałą częścią naszego społeczeństwa wyrażał się w amplitudzie lawinowo narastających i ocierających się z reguły o pogranicze pełnej konfrontacji spięć i jakże rzadkich momentów względnego jedynie spokoju. W efekcie tego spadek krzywej produkcji i konsumpcji kompensowany był wzrostej krzywej zawałów serca.

Niezależnie od tego, iż wszyscy, jak tu siedzimy, jesteśmy uwikłani w stronę doznaniową tego kryzysu, a większość z nas jest mniej lub bardziej uwikłana w działania zmierzające do zaradzenia mu, myślę, iż warto tu na tym Zjeździe, przyjrzeć się tym zjawiskom w sposób nieco bardziej analityczny, a przede wszystkim z bardziej rozległej czasowej perspektywy.

Perspektywa ta uprzytamnia nam z miejsca, iż jest to jeden z kolejnych mniej lub bardziej podobnych jawnych kryzysów społecznych, jakie nam się na tyle regularnie przytrafiają w powojennym trzydziestopięcioleciu, iż wielu badaczom nasunęły tezę cyklicznego charakteru naszego rozwoju. Jeśli tak jest, iż kryzysy są u nas zjawiskiem mniej lub bardziej „normalnym", to z miejsca nasuwają się pytania o genezę tych kryzysowych cykli czy poszczególnych kryzysów rozważanych każdy z osobna. I tutaj chyba, szukając tej genezy, warto na samym wstępie uchylić jako niepoważne, pojawiające się w sposób równie cykliczny jak kryzysy, same próby ich wyjaśnień ex post w kategoriach idealizmu historycznego. W sto lat po śmierci Karola Marksa nie bardzo wręcz wypada wyjaśniać każdy kolejny kryzys systemu społeczno-politycznego trzydziestopięciomilionowego narodu tym, iż przywódcy poprzedniej epoki nie byli dostatecznie uczciwi czy inteligentni, lub że mieli paskudny charakter i skłonności do autokratyzmu, w wyniku czego znów się oderwali od mas i popełniali błędy. Nie mówię tego po to, aby kolejnym ekipom odbierać osobistą odpowiedzialność za stan rzeczy, do którego doprowadzili, ale mnie jako socjologa interesuje przede wszystkim struktura systemu społecznego, w której przywódcy ci byli w stanie do takich skutków doprowadzić społeczeństwo. Istnieje w fizyce współczesnej taka zasada, która powiada, iż jeśli coś — jakiś proces, stan rzeczy czy zdarzenie jest możliwe, to zajdzie ono lub zaistnieje z pewnością. Myślę, iż warto ją z całą teoretyczną odpowiedzialnością przenieść na teren socjologii i rozpatrywać pewne struktury społeczne ze względu na to, czy umożliwiają czy uniemożliwiają one zajście pewnych zdarzeń i procesów.

Wspomniałem już wyżej o rytmicznym charakterze powracających regularnie jawnych kryzysów w naszym kraju, co czyni dyspozycję do ich pojawienia się niemal stałą cechą naszego systemu. Myślę jednak, że jeśli uprzytomnimy sobie ponownie definicję kryzysu, jako stanu masowej i silnej deprywacji ważnych ludzkich potrzeb i dążeń, to przyjdzie nam stwierdzić, iż u podstaw, u źródeł tych kryzysów znajduje się stan mniej lub bardziej głębokiego kryzysu utajonego, który tym samym byłby trwałą cechą naszego społeczeństwa za okres kilku minionych dziesięcioleci. Miarą tego kryzysu byłaby rozpiętość pomiędzy ludzkimi potrzebami i wartościami a działaniami systemu na rzecz ich zaspokojenia.

Diagnozę tego trwałego kryzysu mierzonego siłą deprywacji ludzkich potrzeb i dążeń zacząć należy od spraw najbardziej podstawowych, od spraw związanych z zaspokajaniem elementarnych potrzeb ludzi. Nie, żeby o tych sprawach w różnych okresach nie mówiono, a nawet dla zaspokojenia potrzeb materialnych nie robiono, ale niezależnie od wielu realnych osiągnięć w tej dziedzinie w poszczególnych okresach (zwłaszcza w fazach wychodzenia z kolejnych kryzysów jawnych) tak się na ogół składało, że *ilekroć podstawowe potrzeby obywateli znalazły się w rzeczywistym czy wyimaginowanym konflikcie z działaniami na rzecz innych celów — ołówek planisty ze zdumiewającą łatwością skreślał inwestycje w tej dziedzinie. Jest to najprostsza definicja operacyjna niskiej rangi tej kategorii celów w ogólnej hierarchii celów realizowanych przez państwo na przestrzeni dziesięcioleci. Jednakże sama intencja czy nawet hierarchia wartości centralnego decydenta inwestycji do tego nie wystarczyła, aby wybory przeciwko ludzkim potrzebom miały miejsce, musiały być one — do pewnych przynajmniej granic — społecznie możliwe.*

Stan trwałego dystansu między ludzkimi potrzebami i dążeniami a stopniem ich zaspokajania przez system społeczny nie ograniczał się do sfery potrzeb podstawowych ludzi. W społeczeństwie naszym w sposób trwały i to z dużą siłą występują liczne inne wartości, z których wymienię przede wszystkim dwa ich zespoły, albowiem deprywacja ich składa się razem z poprzednio wymienionym na to, co można by określić mianem syndromu utajonego kryzysu społecznego.

Pierwszy z tych zespołów to wartości określające dla ludzi ideał równości i sprawiedliwości społecznej — od równości szans życiowych dla wszystkich, poprzez zasadę sprawiedliwego wynagrodzenia, z reguły znacznie bardziej egalitarną niż istniejący w poszczególnych okresach naszej powojennej historii system płacowych zróżnicowań, aż po gwałtowne odrzucenie różnych form przywilejów społecznych zawłaszczanych przez ekipy rządzące. O sile frustracji tych ideałów wiemy dobrze z ostatnich kilku lat masowego protestu, jaki budziły naruszenia zasady równości i sprawiedliwości społecznej — dobrze jednak dla uchylenia tezy o wyjątkowości tego okresu pod tym względem przypomnieć spór o sklepy „za żółtymi firankami", charakterystyczny dla okresu przedpaździernikowego.

Deprywacja wartości równościowo-sprawiedliwościowych nadawała syndromowi kryzysu ukrytego charakter dość szczególny. Przecież wartości te były w okresie wyjściowym sztandarowymi hasłami nowego ustroju socjalistycznego. Rozbieżność rzeczywistości w tej dziedzinie z postulatami, które nowy ustrój starał się społeczeństwu zaszczepić i co mu się, jak dobrze wiemy, nadspodziewanie dobrze w tej sferze wartości udało, doprowadziła do sytuacji dość teoretycznie interesującej, do socjalizacji wartości bez identyfikacji ich z nadawcą. Psychologia wychowawcza zna to zjawisko z procesów socjalizacji dokonywających się w autorytarnych rodzinach, ale w skali makrospołecznej jest to zjawisko dość rzadkie. Efektem tego była krytyka ustroju socjalistycznego z pozycji jego własnej ideologii.

Drugi zespół wartości, których doniosłość w odczuciach ludzi ujawniły zarówno nasze badania, jak i masowe społeczne żądania, *to dążenia o charakterze wolnościowo-demokratycznym,* od potrzeb współdecydowania o swoim losie i pragnienia wpływu na decyzje władz na wszystkich szczeblach rządzenia i zarządzania, przez potrzebę do samozrzeszenia — wszelkie okresy rozluźnień to przecież zarazem okresy masowego i spontanicznego tworzenia się nowych organizacji i stowarzyszeń — aż po powszechnie i przez wszystkie grupy społeczne z równą siłą deklarowany postulat wolności słowa i żądania prawdy.

Efektem systematycznej deprywacji dążeń tej kategorii było psychiczne wycofywanie się ludzi ze struktur zorganizowanych, których celem miałaby być właśnie koordynacja spontanicznych ludzkich, ale i społecznie zaangażowanych poczynań w sferę dążeń i celów osobistych, w sferę prywatności. W wyniku tego powstawała specyficzna próżnia społeczna, tj. faktyczna dezintegracja społeczeństwa w różnych jego przekrojach. Ale atomizacja społeczna i związana z nią malejąca sprawność i wydajność całego systemu społeczno-gospodarczego nie była jedyną ceną, jaką się za to płaciło. Ludzie, którym pierwsza połowa ostatniej dekady starała się wmówić szczególną transakcję wiązaną: mały fiat za cenę rezygnacji z rzeczywistego uczestnictwa i współdecydowania — nawet jeśli to akceptowali, to płacili za to poczuciem utraty godności. U innych analogiczne efekty dawało poczucie bezsiły i bezradności. Zagrożenie poczucia godności i wartości własnej u ludzi w skali masowej to był też jeden z elementów kryzysu ukrytego.

Wartości omawianego wyżej zespołu wolnościowo-demokratycznego były uwikłane w układ negatywnych sprzężeń z działaniem systemu władzy owych czasów, z typowym dla tych okresów sposobem jej sprawowania. Władza postrzegała te wartości i ludzi domagających się ich realizacji jako swego rodzaju naturalnego przeciwnika. Z kolei władza sama była w całym naszym systemie uwikłana w system dodatkowych sprzężeń zwrotnych — oznacza to, że w sposób systematyczny i priorytetowy podejmowała liczne działania, które by w sposób bezpośredni lub pośredni zmierzały do jej dalszego umocnienia. Ponadto każde zdarzenie, stan rzeczy czy działanie z dziedziny nawet nie związanej bezpośrednio z zagadnieniami władzy, jak np. polityka kadrowa w najbardziej niepolitycznych instytucjach, było oceniane przede wszystkim z punktu widzenia jego ewentualnych konsekwencji dla umocnienia czy też osłabienia władzy czy nawet aktualnej jej ekipy i w zależności od tych konsekwencji oceniane i jeśli tej władzy nie umacniało — a tym bardziej — gdyby ją miało w jakimkolwiek stopniu osłabić — ograniczyć, z góry było eliminowane. Na tym polegała istota tego sprzężenia zwrotnego dodatniego.

Jednakże praw cybernetyki nie da się uchylić i układy, w których ważny ich parametr (system władzy był przecież u nas ważnym konstytutywnym parametrem całej struktury społecznej) uwikłany jest w sprzężenie zwrotne dodatnie, wchodzić musi w coraz silniejsze wibracje, napięcia i zakłócenia, których efektem końcowym jest jego rozpad. W przetłumaczeniu na historię naszego kraju oznaczało to, że działania władzy na rzecz jej niezbędnego umocnienia nieuchronnie powodowały narastanie napięć w ramach syndromu kryzysu ukrytego, dalej: przejście jego w fazę kryzysu jawnego i w finale w nieuchronną zmianę ekipy, która ten proces uruchomiła i rozwijała.

Warto jednak przyjrzeć się nieco bliżej mechanizmowi realizacji tego procesu kryzysogennego, określonego przez opisany wyżej układ sprzężeń dodatnich, w jakie uwikłany był aparat władzy, bowiem mechanizm ten miał pewne swoiste właściwości, spowodowane faktem, iż poszczególne zespoły tych wartości, deprywacja których składała się na syndrom kryzysu ukrytego, same były między sobą powiązane w sposób dość szczególny. Oto bowiem *warunkiem koniecznym dla deprywacji potrzeb bytowych i wartości równościowo-sprawiedliwościowych w skali masowej była w naszym systemie deprywacja wartości drugiego omawianego wyżej zespołu, lub mówiąc prościej — skuteczne obniżenie stopnia demokratyczności społeczeństwa.* Bez ograniczenia czy nawet eliminacji w wielu sprawach wolności publicznych wypowiedzi, prawa do krytyki i prawa do samozrzeszania nie byłoby możliwe podejmowanie działań tak niezgodnych z ich innymi potrzebami i wartościami. Skoro zaś w wyniku skutecznego obniżenia stopnia demokratyczności społecznej możliwa była deprywacja innych wartości, to zgodnie z tym, o czym mówiłem wyżej stawało się to nieuniknione.

Ale tu chcę dodać, aby nie była niejasności, że — nie twierdzę bynajmniej, iż ograniczenie demokracji i różnorodne hypertrofie centralizmu bezpośrednio oraz intencjonalnie miały na celu ograniczenie realizacji zasad równościowo-sprawiedliwościowych, czy też zmierzały do świadomej deprywacji potrzeb bytowych obywateli czy obniżenia ekonomicznej sprawności systemu. Wiemy dobrze, że — przynajmniej w intencji twórców nowego systemu — miało być wręcz odwrotnie. Jednakże ubezwłasnowolnienie społeczeństwa stworzyło sytuację, w której również elementy zespołu kryzysu ukrytego i pozostałe działania stały się możliwe. Skoro zaś były możliwe, to możliwość ta czekała tylko stosowanej chwili, aby przekształcić się w rzeczywistość. I z reguły doczekiwała się. Przykładów podawał nie będę — wystarczy lektura codziennych gazet lub wspomnienie z bliższej czy nieco dalszej historii. Również i sam system władzy wydawał się przynajmniej częściowo zdawać sobie sprawę z natury tego mechanizmu. Regułą było, iż recepty na kolejne kryzysy ekonomiczne dopatrywano się w decentralizacji władzy, a więc zdawano sobie sprawę z tego, iż umocnienie władzy centralnej nie służyło innym celom, jak tylko... umocnieniu władzy centralnej. Szkoda, że o tym tak szybko zapomniano.

Przejście z kryzysu utajonego w fazę kryzysu otwartego kierowane było już innym układem sprzężeń — rolę mechanizmu spustowego wobec nagromadzonych napięć społecznych grały z reguły deprywacje potrzeb materialnych. Ekonomista powiedziałby, iż potrzeby te, po przekroczeniu pewnego progu deprywacji stawały się skrajnie nieelastyczne, gdy potrzeby wolnościowe i równościowe miały bardziej elastyczny charakter. Te ostatnie — właśnie na skutek większej swej elastyczności mogły ulegać deprywacji dość daleko posuniętej, jeśli się tylko zastosuje należyte siły i naciski. Myślę jednak, iż zarówno słowo nacisk, jak i elastyczność należy pojmować w tym wypadku bardziej w rozumieniu mechaniki niż ekonomii, jak wiadomo ściśnięta sprężyna ma tym większą siłę odrzutu, im bardziej ją uprzednio dociśnięto — czy jak się to u nas mówiło — dokręcano. O sile tego odrzutu przekonały się kolejne ekipy w okresach kryzysu. Dlatego też nie są to wartości, które by można było lekceważyć nawet, kiedy istnieją w postaci utajonej.

* * *

Tyle uwag — mam nadzieję — historyczno-socjologicznych. *Okres ostatniego roku skłonny jestem uważać przede wszystkim za ponowną próbę społeczeństwa rozwiązania kryzysu, nawet już ostatnio nie tak bardzo utajonego, ale w odróżnieniu od prób poprzednich okres ten ma szereg elementów nowych,* które tu warto zasygnalizować. *Pierwszy z nich to rzecz jasna powstanie „Solidarności"* jako siły społecznej na tyle realnej, że sama sobie może zagwarantować swe dalsze istnienie i działanie. *Elementem drugim jest to, iż jak się wydaje, potrzeby i wartości o charakterze równościowo-sprawiedliwościowym i te, które działały na rzecz demokratyzacji systemu, utraciły dziś swą elastyczność, co sprawia, że próby ich deprywacji, które by w porównaniu z okresami poprzednimi mogły się wydawać stosunkowo niewielkie, budzą odruchy silne — i w połączeniu z siłą zorganizowanych w „Solidarności" mas — bardziej skuteczne, niż kiedykolwiek.*

W płaszczyźnie czysto objawowej, przy założeniu, iż nie brak prób ponownej deprywacji tych wartości, sprzyja to powstawaniu konfliktów między władzą, a masami zorganizowanymi w „Solidarności" o charakterze nader dramatycznym, czego doświadczamy w tych dniach równie silnie, jak i w miesiącach poprzednich. A jednak w tej właśnie sytuacji skłonny widzieć jestem przesłanki do swoistego optymizmu. Oto bowiem po raz, jak się wydaje, pierwszy w powojennej historii pojawiły się bariery na drodze do ewentualnych działań, efektem nieuniknionym którym byłoby ponowne uruchomienie cyklu — kryzys utajony — kryzys jawny. *Mówiąc po prostu — działania możliwe kiedyś — dziś stały się społecznie niemożliwe, a tym samym po raz pierwszy mamy szanse stworzenia takiego układu stosunków społecznych, w którym dystans między tym, co jest, a tym czego chcą ludzie, będzie malał a nie wzrastał.* Świadomość tej niemożliwości jest już, jak się wydaje, dość powszechna w ludzkich umysłach i efektem jej jest właśnie wzrost poczucia godności ludzi, o czym tak wiele się ostatnio pisało. Nie mniej istotne jest to, że spora część aparatu władzy zrozumiała, iż nie wystarczą ani dziś, ani w przyszłości działania pozorne określane kiedyś tak chętnie mianem „demokratyzacji", że niezbędny czy też choćby nieunikniony jest taki stan rzeczy, w którym władza będzie przez społeczeństwo ograniczona i kontrolowana. Dyskusja przedzjazdowa w szeregach PZPR i sam Nadzwyczajny Zjazd partii przyniosły wiele sygnałów rosnącego zrozumienia tego stanu rzeczy. Jawna niechęć władzy do „rozwiązań siłowych", charakterystyczna dla ostatniego konfliktu w toku całego jego przebiegu, jest też ważnym wyrazem tego zrozumienia. Jeśli do tego dodamy, iż obie strony tego tak chwilami ostrego konfliktu wydają się rozumieć, iż każda z nich musi się pogodzić z trwałym istnieniem drugiej i — czy to lubi, czy nie lubi — nie jest w stanie rozwiązać jakichkolwiek problemów ogólnonarodowych bez dwustronnej, choćby niechętnej na nie zgody, to w sumie wydaje się, iż jesteśmy u progu okresu o dużej stabilności w makroskali i bez perspektyw narastanie w przyszłości głębokiego kryzysu, podobnego do poprzednich, a więc w sumie bezpieczniejszego zarówno dla społeczeństwa jak i dla aparatu władzy.

Jednakże owo współistnienie może przypominać bądź mecz dwóch bokserów na ringu, bądź też kooperacyjną grę dwóch partnerów przeciwko naturze. W chwili obecnej sytuacja pierwsza wydaje się dominować. W gruncie rzeczy jest jeszcze gorzej. Walka dwóch bokserów na ringu jest bowiem grą o sumie zerowej, klęska jednego jest wygraną drugiego. Tymczasem to, co się dziś u nas dzieje to gra o sumie niezerowej, jest to bowiem klasyczna sytuacja opisywana w teorii gier pod nazwą dylematu więźnia. Polega ona, jak wiadomo, na tym, iż każdy z kontrpartnerów tej gry mógłby wygrać znacznie więcej, gdyby wybrał strategię opartą o hipotezę zaufania do drugiego, ale zarazem mógłby stracić wiele, gdyby tamten odpowiedział na to działaniem antagonistycznym. W tej sytuacji obaj podejmują działania antagonistyczne i obaj nieuchronnie tracą. W dylemacie więźnia nie ma bowiem i nie może być wygranego bez przyjęcia dwustronnie strategii kooperatywnej.

O strategię taką, jak wiadomo, niełatwo. Ale tutaj teoria gry może zasugerować pewne reguły postępowania na pewno lepsze od innych. Najważniejsza reguła to strategia małych kroków pozytywnych. Podjęcie jej przez którąkolwiek ze stron sporu (przy całkowitym powstrzymaniu się choćby czasowym od wszelkich działań antagonistycznych) ma tę za-

letę, iż ryzykuje się w nich niewiele, nawet gdyby zostały one wykorzystane przez kontrpartnera, ale w przypadku wywołania działań kooperatywnych u kontrpartnera efektem końcowym może być przekształcenie dylematu więźnia w grę kooperatywną o ukształtowanie układu stosunków możliwego do zaakceptowania przez obie strony.

W tej ostatniej sprawie reguły gry sugerowałyby, aby obie strony próbowały, wbrew nagromadzonym emocjom i rzeczywistym sprzecznościom wartości i interesów spróbować mimo wszystko określić ten zespół elementów, który by składał się na wspólną część definicji sytuacji. Przy założeniu, iż obie strony świadome są zarówno nieusuwalności kontrpartnera, jak i granic własnych możliwości, może okazać się, iż ów zespół wspólnych elementów definicji sytuacji jest bogatszy, niż się to dziś mogłoby wydawać.

Ponadto istnieje przecież jedna sprawa, o której dotąd nie wspomniałem. Omawiane wyżej wartości nadrzędną klamrą spinać się wydaje postawa narodowego patriotyzmu, jako wartość, której doniosłość ani na chwilę nie słabnie w naszych dziejach, opierając się skutecznie wszelkim próbom jej oswojenia i nadania dekoracyjnego jedynie charakteru i zachowując całą swoją ideową ostrość. Kiedy w Październiku mówiło się o polskiej drodze do socjalizmu, to określenie „Polska" nie było tylko określeniem geograficznym, lecz wyrażało świadomość syntezy najlepszych tradycji narodowych, a przede wszystkim tradycji demokratycznych i przywiązanie dla spuścizny kulturowej z oczyszczonymi od stalinowskich wypaczeń najlepszymi wartościami socjalizmu. Kiedy w Stoczni Gdańskiej rok temu śpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy..." to słowa hymnu należało wówczas rozumieć dosłownie. Świadomość nadrzędności wartości patriotycznych wobec wszelkich możliwych wewnątrznarodowych podziałów znalazłe również swój wyraz rok temu w Gdańsku, kiedy to przywódca robotników i wicepremier zgodnie stwierdzili, że rozmawiali jak Polak z Polakiem.

Nawet gdyby w wyniku uprzytomnienia sobie wszelkich zasad nadrzędnych oraz większej niż się wydaje rozległości obszaru zgody na wspólne postrzeganie poszczególnych elementów definicji sytuacji, możliwe było przekształcenie tego, co określiłem jako grę antagonistyczną wedle reguły dylematu więźnia w kooperacyjną grę przeciwko naturze, to przebieg tej gry i tak nie będzie wolny od spięć i konfliktów i niełatwo będzie uzyskać poszczególne jej rozwiązania. Chodzić tam będzie bowiem o określenie kształtu naszego modelu społecznego w ważnych jego aspektach. I tu nie wyobrażam sobie, żeby w określaniu tego przyszłego układu relacji społecznych w projektowanym systemie instytucjonalnym mogło zabraknąć socjologów, już nie jako stron zaangażowanych w ów spór, czego przecież i tak nikt z nas nie uniknie, ale ponadto jako ekspertów w tradycyjnym tego słowa rozumieniu, którzy by obu stronom w równym stopniu ujawniali jakie spectrum instytucjonalnych rozwiązań mają w istniejących warunkach i na gruncie istniejących możliwości rzeczywiście do dyspozycji i jakie są konsekwencje, bezpośrednie i bardziej pośrednie funkcje przyjęcia każdego z tych rozwiązań zarówno dla sprawności działania systemu jako całości, jak i dla samopoczucia ludzi w nim funkcjonujących. Przyjęło się u nas, że ekspert, to ktoś, kto skutecznie reprezentuje jedną ze stron w sytuacji konfliktu. Być może warto by wrócić i do bardziej podstawowego znaczenia tego terminu, w myśl którego ekspert to ktoś, kto naprawdę i możliwie wszechstronnie potrafi naświetlić dane zagadnienie i stworzyć wszystkim przesłanki do bardziej racjonalnego, naukowo zasadnego wyboru. Warunkiem tego jest oczywiście przejście obu stron od gry dylematu więźnia do gry kooperacyjnej, co moim zdaniem jest niemal nieuniknione.

Jeśli państwo sądzą, że jest to postawa nadmiernie optymistyczna wobec tego, co się dziś w naszym kraju dzieje, to zgodzę się, iż rzeczywiście nie jest to jedyna możliwość rozwoju wypadków. Ale alternatywą nie jest bynajmniej wygrana którejkolwiek ze stron w konflikt ten uwikłanych, tj. ani przejście do królestwa pełnej wolności, ani też powrót do tego, co dotychczas kończyło się nakładaniem się na siebie kolejnych pętli kryzysowych. Alternatywą tego jest konfrontacja, której nie przetrwa ani żadna z walczących stron, ani też społeczeństwo polskie w jego obecnym kształcie. Tak wygląda rzeczywista macierz wypłat w tej grze, którą obecnie prowadzimy. Dlatego też nie sądzę, abyśmy mieli jakikolwiek wybór strategii tej gry, i stąd źródło mego, dość — jak państwo widzą — osobliwego optymizmu.

Tytuł referatu pochodzi od redakcji.

Dalszy ciąg ze str. 1

wyciągnąć wniosków? Ba! Jakie środowisko naukowe może się tym poszczycić. Zresztą, nie tak ważne już co było, ważne co będzie.

CZAS TERAŹNIEJSZY

Na otwierającej Zjazd sesji plenarnej wystąpiło czterech profesorów i jeden docent. I to właśnie owa pani docent została nie koronowaną gwiazdą Zjazdu. To właśnie ją cytowano najczęściej, to o niej najczęściej mówiono w kuluarach. JADWIGA STANISZKIS, bo o niej tu mowa, przedstawiła głośną już, uzupełnioną o analizę aktualnej sytuacji, koncepcję samoograniczającej się rewolucji. *Rewolucja ta charakteryzuje się wykorzystywaniem luk w istniejącym i obowiązującym prawie, a jednocześnie ma tendencje do naruszania prawa poprzez jego poprawianie. Rewolucja ta poważnie traktuje fasady, tworzy nowe instytucje i wchodzi w tzw. pustkę władzy. O partii: konflikt w partii nie polega już na podziale na rozsądnych i twardogłowych, ale na różnicy zdań pomiędzy pozornymi reformatorami a orientacją ideologiczną. Dokonywana jest próba zmiany sposobu istnienia partii.* O „Solidarności": *porozumienie warszawskie spowodowało kryzys w tożsamości związku. Poczucie wywłaszczenia. Wykazało istnienie pułapki solidaryzmu i apolityczności. Mamy do czynienia obecnie z procesem ewolucji świadomości działaczy. Po pierwsze — dokonywana jest próba przekraczania nieumiejętności artykulacji własnych interesów (tylko niektórym działaczom się to udaje), po drugie — występuje bariera postrzegania hierarchii władzy jako czegoś, co istnieje w sposób dany; olśnienie, że wystarczy być wybranym i uznanym za władzę, a zaczyna się nią być; (Wałęsa, który w okresie strajku gdańskiego decydował o tym, które sklepy mają być zamknięte, a które otwarte).*

Zapytałem obecnego na sesji członka Biura Politycznego, sekretarza KC, a także socjologia, prof. HIERONIMA KUBIAKA, co sądzi o wygłoszonym referacie. Powiedział: *„Współczesna socjologia ma do wyboru, albo ostrzenie narzędzi badawczych, albo konstruowanie abstrakcyjnych teorii, albo coś, co można by nazwać uogólnionym banałem, albo też autentyczne otwarcie na rzeczywistość. I ten ostatni model socjologii uprawia właśnie pani doc. Staniszkis. Jej niewątpliwym atutem jest odwaga nazywania rzeczy po imieniu. Coraz więcej humanistów zdobywa się na taką odwagę. Co zaś tyczy fragmentów referatu mówiących o partii, to uważam, że nie podejmują one wielu istotnych dla takiej analizy elementów, analiza ta jest niepełna i wymagałaby dyskusji z autorką. A ponieważ przy tej rozmowie nie ma pani Staniszkis, więc na tym poprzestanę."*

Tak, jak zajmowanie się przez socjologów związkami zawodowymi było uprzednio hańbiące, tak teraz — odwrotnie. Socjologiczna analiza „Solidarności" zajęła na Zjeździe poczesne miejsce.

SOCJOLOGIA NIEPOKOJU

Wg J. KURCZEWSKIEGO (Uniwersytet Warszawski):

Funkcje „Solidarności": 1. aktywizacja społeczeństwa; na podstawie badań przeprowadzonych m. in. w regionie Mazowsze okazało się, że 73 proc. jego członków wzięło udział w strajkach, 32 proc. podpisało list protestacyjny lub petycję, 26 proc. wystąpiło na zebraniach. 2. funkcja jednoczenia społeczeństwa. Jednoczenie społeczeństwa przeciw władzy prowadzi do konsolidacji władzy przy pryncypiach. 3. egalitaryzacja bez egalitaryzmu; wszyscy opowiadają się za zróżnicowaniem a nie za równością, nie chcąc sprawiedliwości w ogóle, ale chcą się sprawiedliwie dorobić. 4. Cywilizowanie przeciwnika; im bardziej przeciwnik jest obnażony, tym większą budzi niechęć, np. zaufanie do sędziów po sierpniu spadło. 5. funkcja instytucjonalizacji rewolucji; prowadzi ona do wielofunkcyjności związku, do działania przeciwko strajkom, wolne wybory byłyby skuteczniejsze od strajków.

Wg A. STANKIEWICZA (ekonomista)

Centralna władza nigdy nie obejmowała całości gospodarki — koncentrowała się jedynie na jej wybranych elementach. Teraz nakazy przestały działać, nastąpił paraliż systemu. Gospodarka siłą inercji stacza się na dno. Stąd „Solidarność" zmuszona jest podejmować rolę, do której jej nie powołano. Stąd głosy robotników; „Nie chcemy współuczestniczyć w zarządzaniu, my chcemy zarządzać." Koncepcja reprywatyzacji przemysłu wyssana jest z palca. Robotnicy: „Co? biurokratyczną administrację mamy zamienić na właściciela? Przez autentyczny samorząd zyskamy sojusznika". „Solidarność" nie chce i nie może przejąć władzy, bo nie po to powstał związek, żeby rządzić, ale po to, żeby bronić interesów.

Wg J. JEDLICKIEGO (PAN):

System, w którym funkcjonujemy, można by nazwać systemem podzielonej suwerenności. Zarówno „Solidarność" jak i partia odgrywają role osłonowe. Np. „Solidarność" odgrywa taką rolę osłonową tłumu wobec władzy. Utrwala się proces alienacji państwa, wzrostu wrogości wobec państwa jako takiego.

Wg W. MARKIEWICZA (PAN):

Naród Polak ceni wyżej niż państwo — „Co dzień Polak narodowi służy".

J. JEDLICKI — ciąg dalszy:

Chodzi więc o szansę wbudowania „Solidarności" w ustrój państwowy, przy czym groźne są iluzje, że „Solidarność" może uzyskać suwerenność do końca, choć ma już np. inicjatywę ustawodawczą, i istnieje nadal duża rezerwa konstytucyjna. Co do samorządu robotniczego, to niedobrze, aby dyrektor i załoga stanowiły harmonijną jedność. Harmonia jest negatywna, konflikt pobudza rozwój.

Wg W. LAMENTOWICZA (Wyższa Szkoła Nauk Społecznych):

W okresie konfliktu coraz istotniejszą rolę odgrywał będzie arbitraż. Aby arbitraż jednak mógł spełnić swoją rolę, muszą być przestrzegane następujące zasady: 1. daję, abyś dał. (A było: nakazuję lub zakazuję, abyś wykonał). O tyle mam prawo do krytyki, o ile uznaję, że sam mogę być krytykowany. 2. zasada podzielności racji — nie mogę nigdy twierdzić, że mam całą i wyłączną rację. 3. świadomość granic tego, co osiągalne — winna tu rządzić zasada samoograniczania. Nie żądać sprawiedliwości w ogóle bo to utopia, ale w jakiejś konkretnej sprawie, coś małego, ale konkretnego. Tymczasem władza nie chce mówić o swoich granicach: będę rządzić i basta! „Solidarność" również nie wyznacza swoich granic. Kto może być arbitrem? Czy aparat państwowy może być arbitrem? Musiałby nie być stroną w konflikcie, musiałby mieć prestiż, a go nie ma. Sądy? Musiałyby być niezawisłe, musiałyby nie podlegać presji partii i presji strajkujących. Sędziowie musieliby być nieusuwalni. Parlament? Musiałby być legitymizowany przez wyborców, a nie mianowany. W tej chwili autorytet mają poszczególni posłowie, ale nie cały Sejm jako instytucja. Kościół? Nie jest stroną w konflikcie, ma dużą bazę społeczną i autorytet. Trzeba będzie zaapelować o wyrzeczenia, o zaciąganie pasa. Kto to zrobi? Partia? „Solidarność"? Kościół może to zrobić. Czy mężowie publicznego zaufania mogą być arbitrami? W lokalnych konfliktach spełniali już taką rolę. Cała partia mogłaby spełnić taką rolę, ale pod warunkiem, że nastąpi dystans do aparatu administracyjnego.

Możliwości arbitrażu są ciągle zbyt mało wykorzystywane. Przede wszystkim jednak należy zniszczyć ośrodki reprywatyzacji państwa, aby państwo stało się Rzeczpospolitą.

Foto: R. Łucyszyn

W kuluarach zjazdu — prof. Piotr Sztompka, doc. Maria Jarosz, prof. Jan Lutyński, prof. Jolanta Kulpińska

O KRYZYSIE

Socjologia pomaga nam ponazywać świat, w którym żyjemy, jego najbliższą przyszłość. Bardzo to pomaga, bo wszyscy żyjemy w niepewności.

Wg S. NOWAKA (UW):

Kryzys to stan systemu, który nie spełnia oczekiwań, nie zaspokaja potrzeb. Optymistyczne: konflikt charakterystyczny dla obecnej sytuacji stanowi zaporę dla kolejnego wejścia w pętlę kryzysową. Najbardziej odpowiednia strategia to strategia małych kroków pozytywnych.

Wg B. WAWRZYNIAKA (Szkoła Główna Planowania i Statystyki):

Decyzje w okresie kryzysu cechuje: niepewność, bierność, wyczekiwanie, kosmetyka, działania pozorne. Wzrasta poczucie niemożności, dezintegracja zespołów pracowniczych, a z drugiej strony nadmierna tendencja do zmiany wszystkiego. Jak rządzić w kryzysie? Działać jak dotąd, ale efektywniej. Przetrwać burzę. Zapomnieć dzień wczorajszy. Wymyśleć dzień jutrzejszy. Cytat: K. Bleicher: „Kryzys nie tylko daje twórczą siłę do generowania innowacji, lecz jednocześnie stwarza zaporę przeciwko źródłom jego powstawania — rośnie spostrzegawczość, gotowość do walki. Dla planowania organizacji, kryzysy stwarzają jednorazowe, przełomowe żądania utworzenia nowych, stanowiących na przyszłość koncepcji, wprowadzenia ich w życie i przełamania tym sposobem „zaskorupiałych" struktur organizacyjnych zastępując je elastycznymi."

* * *

Wbrew oczekiwaniom wielu, Zjazd niczego nie uchwalił. I dobrze, bo, jak powiedział prof. Stefan Nowak na konferencji prasowej, nauki się nie uchwala, naukę się rozwija.

MAREK MILLER

SPOJRZENIE Z BOKU

mówi prof. STANISŁAW LEONARD ANDRESKI, kierownik Zakładu Socjologii w Uniwersytecie w Reading w Wielkiej Brytanii.

Foto: R. Łucyszyn

— Kiedy pan profesor był ostatni raz w Polsce?

— W 1976 roku.

— Jakie zmiany w kraju, po pięcioletniej przerwie zrobiły na panu największe wrażenie?

— Ogromne zmiany w zakresie kultury i swobód obywatelskich, zwłaszcza dotyczące wolności słowa. Wystarczy porównać gazety dzisiejsze i te sprzed pięciu lat. Jednocześnie uderza znaczne pogorszenie się sytuacji gospodarczej. W 1976 r. nie było takich kolejek przed sklepami i tak pustych półek.

— Był pan zapewne na taki widok przygotowany. Jak nam wiadomo, prasa zagraniczna dostarcza wielu informacji o Polsce.

— Oczywiście. Gazety i telewizja angielska informują bardzo dokładnie o sytuacji w Polsce. Uważam, że nigdy jeszcze świat nie interesował się tak bardzo Polską jak obecnie. Co innego jednak wiedzieć, a co innego widzieć.

— Czy nie uważa pan profesor, że miniony rok przyczynił się bardzo do wzrostu roli socjologa w Polsce? Wielu z nich zaangażowało się bardzo aktywnie w działalność społeczną, pracują jako eksperci związków zawodowych, i innych organizacji społecznych.

— Nic w tym dziwnego. Socjologia „karmi" się kryzysem, analizuje kryzys, bada jego przyczyny, stawia prognozy na przyszłość. Społeczeństwo ustabilizowane, nie przeżywające wstrząsów mniej pobudza prace w tej dziedzinie.

— Czy to świadczy o zwiększeniu się znaczenia socjologii?

— W Polsce — tak. W Wielkiej Brytanii — odwrotnie. Przeważa rozczarowanie socjologią. Zbyt wiele w niej blagi, wodolejstwa i tzw. dzikiego marksizmu. W wyobraźni przeciętnego Anglika typowy socjolog to „dziki marksizujący hippis", który dużo mówi i niewiele robi.

— W Polsce przeciwnie, chyba zbytnio gloryfikuje się socjologię. Oczekuje od niej recepty na udoskonalenie świata.

— Sądzę, że socjologowie polscy są w lepszej sytuacji niż ich brytyjscy koledzy. Przez długie lata zawód ten nie cieszył się w Polsce przychylnością władz i każdy, kto tylko garnął się do tego zawodu, zdawał sobie z tego sprawę. W czasach surowej represji następowała naturalna selekcja. Zostali najlepsi, najbardziej odważni, którzy podjęli ryzyko uprawiania tego niebezpiecznego zawodu.

— A jakie są praktyczne pożytki z socjologii w Wielkiej Brytanii?

— Niewielkie. Na przykład w przemyśle nie zatrudnia się socjologów jako takich, aczkolwiek pracownicy zajmujący się stosunkami międzyludzkimi w wielkich zakładach pracy mogą być socjologami, ale nie muszą. Kryzys w Anglii, oczywiście o odmiennym charakterze niż w Polsce, ogarnia również socjologię.

— Pana opinie ze zjazdu w Łodzi?

— Jest to pierwszy zjazd, na którym tak otwarcie mówi się o wszystkich problemach społecznych, bez ograniczeń cenzury. Nawet, jeśli słyszałem referentów poruszających zagadnienia mnie osobiście już znane, przyjemnie było słyszeć, nie drętwą mowę. Jest to fakt bardzo budujący. Odnoszę wrażenie, że w socjologii polskiej jest obecnie mniej blagi i wodolejstwa, niż w innych krajach.

Rozmawiała: MAŁGORZATA GOLICKA

NUTA OSOBISTEJ REFLEKSJI

Był to zjazd naukowy o ogromnie bogatym, przeładowanym programie. Sami uczestnicy narzekali, że nie mogą zdążyć na dyskusje w interesujących ich grupach roboczych, że za mało czasu pozostawiano na polemiki. Bo trudno doprawdy podjąć decyzję, kiedy w tym samym czasie Lamentowicz mówi o grupach interesu w Polsce, a Sztompka o dynamice kryzysu.

Nic więc dziwnego, że na zjeździe wszyscy się spieszyli, zaglądali przez drzwi, czy trafili do odpowiedniej grupy, wychodzili w połowie spotkania, żeby zdążyć na drugie. Na dodatek jedne grupy likwidowano, inne organizowano ad hoc. Zjazd był przez to nieco „na luzie", ale za to bardziej autentyczny. Przypominał ogromny show, na którym wszyscy aktorzy grali swoje najlepsze role.

Był to jednocześnie zjazd obywatelskiej edukacji. Wielkim powodzeniem cieszyły się spotkania z bezpośrednimi uczestnikami wydarzeń sierpniowych w Gdańsku, z ekspertami „Solidarności": doc. dr Jadwigą Staniszkis, dr Janem Strzeleckim, dr Jackiem Kurczewskim. Na obrady przychodzili ludzie dalecy zawodowo od socjologii: przyrodnicy, lekarze, studenci. Spotkałam także emerytowanego robotnika, który dowiedział się o zjeździe z prasy. Taki jest głód wiedzy o tym, co się dzieje. Dlatego mi żal, że zjazd zamknął się w murach uczelni, że z pobytu w Łodzi tylu znakomitych badaczy naszej rzeczywistości nie skorzystały inne organizacje naukowe i społeczne, że nie zorganizowały z uczestnikami zjazdu otwartych spotkań. Z drugiej strony socjologowie też byli zbyt skromni.

Szkoda, że informacje i szczegółowy program zjazdu nie dotarły do innych uczelni i organizacji zawodowo-twórczych, że po prostu nie wykorzystano okresu, w którym obywatele są ciekawi tego, co mówią socjologowie. Trudno. Ze swej strony mogę obiecać Czytelnikom, że będę sięgać do materiałów zjazdu, powracać do poruszanych tam zagadnień tak często jak tylko będzie to możliwe.

M. G.

ILU MAMY SOCJOLOGÓW?

Mamy w naszym kraju 2.033 socjologów. Najwięcej z nich zatrudnia oświata i wychowanie — 609 osób, przemysł — 393, nauka i technika — 316 osób. W administracji i wymiarze sprawiedliwości pracuje 140, w innych gałęziach produkcji materialnej — 129, w kulturze i sztuce — 115. Handel zatrudnia 60 socjologów, gospodarka mieszkaniowa — 25, turystyka i wypoczynek — 18. Są to tradycyjnie pojęte miejsca zatrudnienia socjologów. Przygotowanie zawodowe, a przede wszystkim dobrze rozumiany interes społeczny wymaga, aby socjologowie znaleźli się zarówno w placówkach penitencjarnych, jak i wychowawczych. Aby pracowali jako doradcy w zespołach urbanistycznych, instytucjach gospodarczych na wsi i w mieście, by nie zabrakło ich w prasie, ośrodkach badania opinii publicznej i w wielu, wielu innych.

SOCJOLOGOWIE O SOCJOLOGII

„Socjologia polska przeszła już wiele zakrętów. W latach 40 przed socjologami otwierały się duże możliwości badawcze, istniała chęć poznania społeczeństwa polskiego, doskonalenia warsztatu badawczego. Najpoważniejsi socjologowie zdawali sobie jednak sprawę z potrzeby pokory badacza wobec zjawisk rzeczywistości. Stanisław Ossowski w tym to Uniwersytecie Łódzkim w 1945 roku sformułował taką właśnie potrzebę pokory. Warto dziś o tym przypomnieć."

prof. dr ANTONINA KŁOSKOWSKA,
Uniwersytet Warszawski
(końcowa sesja plenarna)

„Na podstawie analizy prac opublikowanych tylko w roku 1977—78 mogę stwierdzić, że 85—90 proc. badań polskich socjologów dotyczyło świadomości społecznej. Przez świadomość rozumiem zaś to wszystko, co jest w głowie oprócz mózgu. Dla przykładu nie bada się funkcji systemu oświaty, ale cele życiowe nauczycieli. Większość badań dotyczy współczesności, niechętnie sięga się do faktów historycznych. Bada się jednostki, a nie grupy, instytucje czy organizacje. Można więc mówić, iż większość z nas uprawia socjologię indywidualistyczną. Danych do badań dostarczają przede wszystkim wypowiedzi ludzi poprzez ankiety i kwestionariusze. Charakterystyczną cechą badań jest płaski empiryzm, przy braku syntezy i uogólnień. W Polsce w tym czasie badano teorię rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, a nie Tego społeczeństwa, Tu i Teraz."

dr ANTONI SUŁEK,
Uniwersytet Warszawski
(końcowa sesja plenarna)

SOCJOLOGOWIE O SOCJOLOGACH

„Zjazd wykazał, że socjologowie potrafią bardzo szybko dostosować się do sytuacji i reagować na zmiany. Najlepszy dowód, że zjazd był zdominowany przez aktualną problematykę społeczno-polityczną i często prezentowano wyniki badań nieomal z ostatniej chwili."

prof. dr STEFAN NOWAK,
Uniwersytet Warszawski
(konferencja prasowa)

„Wielu socjologów zaangażowało się społecznie. Często występują w roli obywateli, a także jako doradcy i eksperci. Socjologowie powinni zaznaczać w jakiej roli występują i odpowiednio różnicować formę wypowiedzi. Raz może to być wypowiedź publicystyczna, drugi — naukowa z podaniem metod i warsztatu badawczego."

doc. dr MICHAŁ POHOSKI,
Uniwersytet Warszawski
(końcowa sesja plenarna)

SOCJOLOGOWIE O AK UALNYCH ZADANIACH SOCJOLOGII

„Żyjemy w okresie, którego nie był w stanie przewidzieć żaden teoretyk socjologii. Trzeba więc szukać nowych metod badawczych, pozwolić sobie na odwagę wyjścia poza dotychczas stosowane, pamiętając o tym, że naczelnym obowiązkiem socjologa jest dotarcie do prawdy."

prof. dr JAN LUTYŃSKI,
Uniwersytet Łódzki
(końcowa sesja plenarna)

„Zjazd PTS jest zjazdem naukowym i nie jego zadaniem jest ustalanie planów badawczych. Zasadniczą funkcją socjologii jest funkcja diagnostyczna. Jeśli socjologowie będą mieli świadomość, iż zostaną potraktowani poważnie, że zostaną wysłuchani, wówczas będą opracowywać takie diagnozy."

prof. dr STEFAN NOWAK,
Uniwersytet Warszawski
(konferencja prasowa)

„Jeśli nas nie zapraszają, zapraszajmy się sami. W Światowej Organizacji Zdrowia polska grupa socjologów ekspertów zmieniła zupełnie punkt widzenia na wiele problemów. Uświadomiliśmy m.in. naszym kolegom, że sedno sprawy nie leży w tym, że zwiększa się w Europie liczba ludzi starych, tylko że usługi dla nich są ciągle niedostatecznie rozwinięte. Musimy przyjąć do wiadomości, że wzrasta liczba chorych na choroby cywilizacyjne, ale nie możemy pozostać bierni na fakt, że ciągle zbyt słabo rozwinięta jest profilaktyka w tym zakresie."

prof. dr MAGDALENA SOKOŁOWSKA,
Warszawa PAN, wiceprzewodnicząca ISA — Międzynarodowego Towarzystwa Socjologicznego
(konferencja prasowa)

„Proponuję narodowy program badań pod hasłem: „Pomóżmy społeczeństwu zrozumieć samych siebie". Takie badania uważam za społeczną misję współczesnych socjologów."

prof. dr PIOTR SZTOMPKA,
Uniwersytet Jagielloński
(końcowa sesja plenarna)

Przygotowała: M GOLICKA

małe ale ważne

Ryszard Binkowski

Pewien rolnik hodował świnie. Wkrótce, przed obejście poczęły zajeżdżać czarne wołgi. Rolnik uległ namowom, wepchnięto mu kredyty, materiały budowlane i w sześć tygodni postawił oborę. 27 krów stało jednak na podwórzu, bo gnojówka zalewała oborę, a wozu asenizacyjnego nie było. Ziemi rolnik miał mało, w siedmiu kawałkach. Obiecywano więcej, ale sąsiedzką zabrała SKR, zamieniając ją w ugór. Rolnik codziennie 270 litrów mleka studził w odległym strumieniu, a wodę kupował u ogrodników, bo tę ze studni krowy wypiły. Zimą na cztery dni wyłączono prąd. Dziesięć krów z zepsutymi wymionami (po 22 tys. sztuka) poszła na rzeź po 12 tys. zł. Jedna się udusiła, bo w oborze źle zaprojektowano stanowiska. Rolnik wrócił do hodowli świń i ma ich znowu więcej, niż cała wieś.

Przypowieść ta świadczy, iż „Centrala" nawet w okrojonym do absurdalnych wymiarów woj. łódzkim chciała widzieć same rzeczy wielkie. Statystyka w pawich piórach głosiła, że do końca 1980 roku powstanie tutaj 2,3 tys. gospodarstw specjalistycznych. Jak naczelnik miał w planie, to się robiło. I dziś stoją na wpół puste obory i chlewnie w zagrodach chłopskich. Na państwowym również, np. obora w Brużycy lub pusta ferma drobiu we Wróblewie. Chłopi biją się dziś o ziemię, a wokół dużych ferm wytwarza się próżnia, brakuje paszy na wyżywienie inwentarza.

W 1976 roku, według założeń planu pięcioletniego, głównym czynnikiem rozwoju rolnictwa w woj. miejskim miał być wzrost produkcji roślinnej i zwierzęcej, przede wszystkim bydła mlecznego. Nikt nie wziął pod uwagę, że w woj. miejskich na 102,4 tys. ha jest 22,7 tys. gospodarstw, z czego aż 65,2 proc. stanowią drobne, od 0,5 ha do 5 ha. I że chyba równie tyle jest działek przyzagrodowych poniżej 0,5 ha.

W kraju było około miliona gospodarstw małych, w których wskutek braku pasz i nieopłacalności zaniedbano produkcję zwierzęcą. Milion rodzin stanęło w kolejkach do miejskich sklepów. To samo zjawisko dotyczy Łodzi. Ano cóż, dla instytucji kontraktujących „drobniak" nie był partnerem, lecz uciążliwym petentem. SKR miały nawet zakaz obsługiwać małe działki.

Tymczasem stałą cechą rolnictwa europejskiego jest drobnotowarowość. Stwarza to kłopoty ale w dobie kryzysu żywnościowego wszystko, co małe, może przynieść korzyści. Japończycy na najmniejszych działkach osiągają najwyższe plony na świecie. Więcej niż Polska mają małych gospodarstw Węgry, które stały się pierwszym państwem socjalistycznym samowystarczalnym w produkcji żywności. Produkcja rolnicza z działek przyzagrodowych wynosi tam 35 proc. całej produkcji, co stanowi 60 miliardów forintów. Działki dają 640 tys. ton żywca świńskiego, z czego 55 proc. przynosi eksportowe zyski w dewizach. Węgry eksportują także warzywa i owoce, zwłaszcza winogrona. Takie efekty osiągnęli nie tylko dzięki małej mechanizacji, ale przede wszystkim dlatego, że zobaczyli, iż obok dużych gospodarstw doskonale mogą prosperować małe, tylko trzeba je wspomagać i otaczać opieką, docenić ich znaczenie.

W „Przeglądzie Ekonomicznym m. Łodzi" nr 6 (1979 r.) wiceprezydent, Lech Krowiranda, stwierdził, że celowa byłaby intensyfikacja produkcji ogrodniczej, głównie owoców jagodowych, warzyw pod osłonami i gruntowych wczesnych, oraz nasiennictwa ogrodniczego i szkółkarstwa. W produkcji zwierzęcej natomiast powinno się rozwijać chów królików, fermową produkcję jaj oraz tuczników w kooperacji z gospodarstwami uspołecznionymi. Jednocześnie inż. Krowiranda słusznie zauważył, że wzrost produkcji mleka w woj. miejskim poprzez tzw. „pierścień mleczny" nie da Łodzi samowystarczalności ze względu na szczupłość bazy paszowej.

Niestety, te słuszne spostrzeżenia i założenia nie zostały wprowadzone w życie. Zamiast wzrostu nastąpił nawet spadek produkcji. Drobni działkowicze i tzw. dwuzawodowcy nadal pozostają w cieniu, niezauważani przez władzę i służbę rolną. A przecież inż. Krowiranda zwrócił uwagę na sprawę ogromnie istotną: nigdzie na świecie wokół wielkich aglomeracji nie hoduje się owiec, nie buduje się dużych obór, nie uprawia zbóż na szeroką skalę. Wokół miast liczy się przede wszystkim warzywnictwie, drób, jaja, owoce i mleko. Trzeba jednak zainteresować się tym szczerze, pójść do działkowiczów, pomóc im, zachęcić. A przede wszystkim zabrać wszystko, co się na działce urodzi, bezpośrednio z obejścia, gdyż taki np. dwuzawodowiec nie ma czasu na handlowanie.

Musimy dziś wykorzystać ogromne zainteresowanie ziemią. To jest szansa. W gazetach roi się od ogłoszeń: „kupię działkę". Dotychczas wiele podupadłych małych gospodarstw często pozostawało bezpańskich. Jeżeli młody człowiek, pracujący w mieście, a mieszkający i urodzony na wsi, chciał nabyć takie gospodarstwo, rzucano mu pod nogi kłody, szczególnie w zdobyciu rolniczych uprawnień. Jestem za tym, aby każdy człowiek z miasta, który pragnie gospodarować na działce, mógł ją bez przeszkód kupić. Dlatego, że często ci sami urzędnicy, którzy zabierali chłopom ziemię, walczą dzisiaj jak wściekli o działki dla siebie. Osobiście znam stolarzy, hydraulików, inżynierów, lekarzy, nauczycieli, którzy na swoich działkach o najniższej klasie ziemi, osiągają bardzo wysoką produkcję. Przy takiej polityce rolnej można osiągnąć dwa pozytywne efekty. Po pierwsze, w dobie ucieczki ze wsi do miast stwarzamy szansę powrotu na wieś. Uciekają przede wszystkim ludzie młodzi z dużych gospodarstw, a przykładem tego jest wyludnione woj. suwalskie. Po drugie, ludzie na małych działkach uzyskują produkcję na rynek i dla własnej spiżarni, przy czym jest to żywność czysta, wolna od skażeń chemicznych. Chciałbym przy okazji zwrócić uwagę na fakt, iż niedostatki żywności wynikają w Łodzi z... budownictwa wielkopłytowego. Np. na Retkini było tysiące ogródków, które w znacznym stopniu żywiły rodziny.

Foto: R. Łucyszyn

Tym większej przeto wagi nabiera uruchomienie małych gospodarstw. Zacznijmy od zboża, którym obsiewa się w woj. miejskim 45 tys. ha. Działki są małe, SKR niechętnie je obsługuje. Właściciele — dwuzawodowcy nie mają możliwości ani czasu na terminowy siew i sprzęt. Czekają na traktor. Może więc czulszym okiem spojrzeć na konia, którym łatwiej obrobić małą działkę? Może rzemieślnicy zajęliby się produkcją siewników konnych? Gdybyśmy mieli pod dostatkiem siewników, to przy terminowym siewie można zebrać o 4 kwintale z ha więcej, czyli w sumie 18 tys. ton zboża.

To zboże nie powinno wędrować po kraju, przesypywane i rozsypywane. Trzeba je na miejscu ześrutować. Jeżeli każdy mógłby nabyć śrutę i odpowiednie komponenty, można by zacząć hodowlę. Ale nie w wielkich fermach. W małych, ciepłych chlewikach chłopskich, po dwie — trzy sztuki. W takich warunkach świnie mniej jedzą, a szybciej rosną. Można by zawierać umowy pomiędzy przedsiębiorstwem i zatrudnionym tam dwuzawodowcem na dostawę tuczników do zakładowej stołówki. Natomiast tuczniki zakontraktowane w GS powinny być zabijane i przerabiane na miejscu.

Chodzi jednak o to, że drobna gospodarka chłopska nie jest w stanie we własnym zakresie zabezpieczyć sobie materiału wyjściowego, to jest prosiąt, warchlaków i cieląt. Materiał ten w sposób planowy winien być rozprowadzany wśród tych gospodarstw. Rzecz w tym, że w sektorze państwowym, po przejściu na samodzielność, zaczyna spadać pogłowie bydła i trzody. Odchów cieląt i prosiąt staje się nieopłacalny. Niektóre gospodarstwa państwowe rezygnują też z hodowli krów. Jedyną więc ostoją dla chowu byczków i tuczników staje się drobna gospodarka chłopska. Na dwóch hektarach można z powodzeniem odchować na samej niemal zielonce (od wiosny do późnej jesieni) dwa bukaty o wadze 300 kg każdy. Na tych samych dwóch hektarach można utrzymać krowę. Jest mleko dla rodziny i około 40 tys. zł rocznie za sprzedane mleko do zlewni. W ten sposób można podźwignąć hodowlę bez nowych inwestycji.

Mówi się o przesunięciu do rolnictwa tych chłopo-robotników, którzy mają gospodarstwa powyżej 5 ha. Uważam, że w warunkach podłódzkich można zapewnić byt rodzinie z działki o powierzchni 20 arów. Wystarczy, że stanie na niej jedna szklarnia i tunel foliowy. Należy cofnąć zakaz budowy szklarni, wydać zezwolenia dla tych, co się zobowiążą produkować warzywa (nie kwiaty!). Że nie starczy opału? Jeśli znacznie podwyższy się ceny węgla, to szybko wzrośnie szacunek dla drzewa, które gnije po lasach. A szklarni, tunelów foliowych i upraw gruntowych warzyw nigdy nie będzie za dużo. Dotychczas łódzkie rolnictwo pokrywa potrzeby warzywnicze tylko w 44 procentach. Potrzebna jest jednak folia, proste narzędzia i mała mechanizacja (ukłon w stronę rzemiosła), żeby nie wygrzebywać wszystkiego z ziemi rękami.

Jeżeli chodzi o owoce, to pokrycie potrzeb stanowi zaledwie 36 proc. Wskazane by więc było zakładanie w małych gospodarstwach niewielkich sadów, chociażby po sto drzew. Dobre ceny na truskawki powinny sprzyjać rozwojowi plantacji tych roślin. A gdyby były odpowiednie urządzenia do sprzętu, na działkach rosłyby krzewy czarnej porzeczki.

Na rynku średnia „głowa" słonecznika kosztuje 25 zł. Dlatego, że jest go mało. A przecież słonecznik to bardzo wydajna roślina, odporna na złe warunki atmosferyczne, nie wymagająca dobrej gleby i zabiegów pielęgnacyjnych. Gdyby na działkach siano po 5—10 arów słonecznika, sprzątano ręcznie i suszono, i gdyby państwo zechciało zabrać to od działkowiczów, to być może nie musielibyśmy sprowadzać z zagranicy oleju słonecznikowego. Zresztą to samo dotyczy maku oraz fasoli tyczkowej, zwłaszcza wysokoplennego „Pięknego Jasia", który z powodzeniem może zrekompensować brak białka zwierzęcego. A przy okazji dzięki uprawie grochu i fasoli ziemia wzbogaca się o cenne składniki.

Czy naprawdę musimy sprowadzać nasiona ogrodnicze z zagranicy? Przecież do pracochłonnej produkcji nasion najlepiej nadają się małe działki. I to nie tylko nasiona potrzebne właścicielom pracowniczych działek. A tytoń, burak nasienny (cukrowy i pastewny), a zioła (np. mięta), o które coraz trudniej?

Płacimy na rynku po 12 zł za jajko, bo łódzkie fermy pokrywają potrzeby zaledwie w 32 proc. Gdyby drobni hodowcy mieli zapewnioną paszę, to bez inwestycji w zaadaptowanych pomieszczeniach trzymaliby po 100—200 kur. Przy większej podaży cena jaj spadłaby od razu.

I wreszcie jeszcze jedna sprawa, wymagająca kiedyś szerszego omówienia. Dlaczego mięso królicze, zbliżone wartościowo do cielęciny, w ogóle nie trafia na rynek? Bo wciąż jest go za mało, a to, co jest, eksportuje się w całości do Europy Zachodniej. Pewnie niewielu rolników wie, że obecnie cena skupu żywca króliczego jest najwyższa z wszystkich zwierząt i wynosi 110 zł za kg. Państwo i tak zarobi, bo dolary to nie złotówki. A na rynku cena samicy króliczej waha się od 700 do 1200 zł. Ceny rosną, gdyż ludzie w minimalnym stopniu próbują sobie rekompensować braki mięsa. A gdyby tak to rozpropagować, stworzyć małe fermy, maksimum po 10 matek? Tutaj nakłady inwestycyjne również są minimalne. A korzyści dla wszystkich: dla hodowców, społeczeństwa i państwa. Wpływy dewizowe mogą być również z hodowli nutrii, jedzą to samo, co mało wymagające króliki.

Jak widać, rezerwy w małych gospodarstwach tkwią znaczne. Trzeba je uruchomić od zaraz. Duże gospodarstwa powstaną samorzutnie, na drodze zakupów ziemi od sąsiadów. Małych gospodarstw nie zlikwiduje się nakazem administracyjnym. One zawsze pozostaną w pejzażu podłódzkim. To przecież ojcowizna, każdy musi mieć prawo jej dziedziczenia. Pozwólmy ludziom wiernie trzymać się ziemi. Oni przecież zwiększają ilość żywności, powstrzymują innych przed ucieczką do miasta, uczą szacunku do pracy na roli.

OPIEKA BEZ OPIEKI

Agnieszka Ostapowicz

— *Nie mogę powiedzieć pani wszystkiego* — tłumaczy. — *Niech mi pani wierzy, chciałabym, ale nie mogę. Przez dziesięć lat, od kiedy ona się tam znajduje, dwa razy w tygodniu jeżdżę do niej i za każdym razem po przyjeździe zapisuję wszystko, co zobaczyłam. Opublikuję to dopiero po jej śmierci. Niech pani zrozumie, dla jej dobra wcześniej nie mogę.* — Stara kobieta ociera ukradkiem łzę. To nie jest tani chwyt. Nie musi przekonywać. Zrobią to za nią fakty.

— *Czy się coś zmieniło od czasu afery rozpętanej wokół tego Domu Pomocy Społecznej dla Dorosłych? Na pewno tak. Przede wszystkim odeszły osoby, które najbardziej znęcały się nad chorymi. Tam druciane trzepaczki rozlatywały się... Czy dawniej nie próbowałam interweniować? Oczywiście, że tak. Ale ci, u których byłam ze skargą — o własnych nogach do tego Domu na kontrolę wchodzili, ale już sami wyjść nie mogli... W końcu do Komitetu Łódzkiego partii napisałam w marcu 1976* — pokazuje tekst skargi. — *I co? I nic.*

PRZECHOWALNIE BEZ DRZWI WYJŚCIOWYCH

„*Już w czasie pierwszych odwiedzin* — czytam w skardze — *zauważyłam, że krewna nasza znalazła się w warunkach podobnych do obozowych. A mianowicie: 1. umieszczono ją w pokoju o zakratowanym oknie, 2. zamykano na klucz, 3. pozostawiano samą z wiadrem w kącie między łóżkami.* (Nb. o to wiadro pokaleczyła się do krwi, co szczegółowo tłumaczono w odpowiedzi Wydziału Zdrowia brakiem... tzw. „uszu", u wiadra naturalnie). *Na noc przyprowadzano do niej drugą towarzyszkę niedoli. Czasem nawet i podczas dnia wpuszczano do pokoju inną chorą w szoku, która za każdym razem wybijała szyby. Wówczas to, obojętnie na porę roku, przez dłuższy czas nie wprawiano szyby, np. od maja 1973 r. do stycznia 1974. Pani kierownik, na usilne moje prośby, poleciła w czasie burz lub gdy było bardzo zimno, zawieszać na gwoździach koc...*

Oświadczam, że do szpitala oddałam krewną czystą i zadbaną i w takim stanie szpital przekazał ją zakładowi w Wiśniowej Górze. Tu zaś dwa razy nabawiła się wszawicy w 1973 i w 1976 roku (...) Najbardziej bolesną sprawą, przypominającą pobyt w obozie koncentracyjnym jest (od połowy 1975 roku) zbyt częste bicie mojej krewnej (tu następuje szczegółowy opis siniaków, zadrapań, uderzeń w podbródek, omdleń). *W tym też okresie czasu podkłady zmieniano dopiero wtedy, gdy można je było wykręcić".*

Skarga, której fragmenty przytaczam, była na tyle wstrząsająca, że trudno ją było zostawić bez odpowiedzi. Wydział Zdrowia odpowiedział wtedy, że: „*rozmowy z personelem Domu nie potwierdziły zarzutów bicia chorej. Faktem jest, że sporadycznie chore biją się między sobą, a nieliczny personel nie zawsze jest w stanie temu zapobiec (...) Odnośnie zarzutów poruszonych w skardze, które rzekomo miały miejsce w latach 1971—1975, trudno się ustosunkować z braku dostatecznych dowodów*". Natomiast w odpowiedzi KG PZPR w Andrespolu stwierdzono, że: „*Prawdziwość danych przekazanych przez pensjonariuszkę nie jest zgodna z prawdą, czego powodem jest choroba psychiczna w zaawansowanym stadium*". Ale przecież to nie pensjonariuszka, lecz jej rodzina zgłosiła skargę. Nie miało to widać żadnego znaczenia. By jednak jeszcze mocniej udokumentować bezpodstawność rzekomych zarzutów, w końcu odpowiedzi KG PZPR stwierdzono, że: „*Rozmowa indywidualna przeprowadzona z krewną obywatelki nie potwierdza stawianych zarzutów*". Dodać dla wyjaśnienia trzeba, że chora, której poczytalność KG PZPR poddał na początku odpowiedzi w wątpliwość, już wtedy prawie nie mówiła...

Tak było do niedawna. Tak było w czasach, gdy nie wypadało mówić o smutnych sprawach, zaciemniających jasny obraz sukcesu. A gdy zaczęto mówić i dostrzegać? — Co się zmieniło?

MÓWIĄ DOKUMENTY

Oto fragmenty protokołu z kontroli przeprowadzonej 11 marca br. przez członków Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność" przy Zakładach Służby Zdrowia i Opieki Społecznej Łódź-Bałuty. (Podobne lustracje komisja ta przeprowadziła, z upoważnienia sekcji służby zdrowia NSZZ „Solidarność", we wszystkich 14 domach opieki społecznej woj. łódzkiego. Konstatacje były podobne.)

„*W trakcie kontroli stwierdzono: 1. Brak odpowiedniej drogi dojazdowej, 2. W całym budynku wyczuwalny zapach moczu, 3. W pralni — czynna tylko jedna pralnica, która jest niewydolna. Dwie pozostałe nieczynne. Nieczynny magiel. Suszarka mechaniczna nieczynna, 4. W suszarni — pomieszczenia małe. Do suszenia wykorzystuje się ciąg korytarzy prowadzących z głównego budynku do pralni. Susząca się pościel jest szara i podarta, 5. Urządzenia sanitarne — całkowicie nieczynna odpływowa kanalizacja (ubikacje pozapychane, wanny, umywalki zniszczone i brudne). Łaźnia nieczynna z powodu niesprawności urządzeń. W łaźni podręczny magazyn sprzętu gospodarczego, 6. Wentylacja — nieczynna w całym budynku. Wilgoć w wielu pomieszczeniach, 7. Sypialnie i bawialnie — w niektórych pomieszczeniach całkowity lub częściowy brak wykładziny podłogowej. Na betonie leżą lub siedzą pensjonariusze. Całość pomieszczeń brudna, zdewastowana, powybijane szyby w oknach, brak zabezpieczenia okien. Łóżka pensjonariuszy całkowicie niesprawne, nie mają zabezpieczeń przed wypadnięciem. Na większości łóżek pościel brudna, lub jej całkowity brak. Materace brudne, cuchnące, mokre, 8. Ubiór dzienny — całkowicie niewystarczający, brudny, zniszczony. W pomieszczeniach temperatura około 10—12 stopni z powodu wybitych szyb i nieszczelności okien. 9. Magazyny odzieży i pościeli — stwierdzono nieznaczną ilość odzieży, bielizny i pościeli, 10. Zabezpieczenie p.pożarowe — jedno wyjście ewakuacyjne (klatka schodowa wąska). Przy hydrantach brak węży i prądnic, 11. Personel — nie wystarczająca ilość opiekunów, salowych i pielęgniarek, szczególnie uwidacznia się na drugiej i trzeciej zmianie, gdzie 110 pensjonariuszek przebywa pod opieką trzech osób. Brak lekarza internisty, 12. Brak izolatki.*

Wnioski: Przedstawione fakty dyskwalifikują obiekt jako miejsce stałego pobytu ciężko upośledzonych i starych ludzi".

Nie muszę chyba wyjaśniać, że pozostają tam nadal.

MÓWIĄ LUDZIE

Helena Witecka (pielęgniarka, 21 lat pracy, z tego 9 w domach pomocy społecznej), jest przewodniczącą koła „Solidarność" w Domu w Wiśniowej Górze. Pracuje tu rok. Mówi to samo, co pielęgniarki z innych domów pomocy.

— *Już chciałam odejść, już nie mogłam wytrzymać. Ale koło „Solidarności" założyłam, więc nie wypadało. I atmosfera trochę się ostatnio poprawiła. Żeby jeszcze było widać dobre chęci kierownictwa. Już nie mówię, że nie ma pomieszczeń dla personelu, że salowe jedzą w kuchni, do której bez przerwy zaglądają chorzy, że siostry zakonne mieszkają na strychu (9 m kw. i w tym pomieszczeniu spowiada się chorych), że samochodu nie ma, by odebrać z apteki leki na „cito", bo ważniejsza jest pasza dla świń, że dyrektor nie chodzi po domu, a moim zdaniem powinien przyczepiać się do każdego drobiazgu — nieczynnego kranu, wybitej szyby. Nie mówiąc nawet, że nie ma waty — wydzielam ją do zastrzyków, a pensjonariuszki nie dostają jej, gdy potrzebują, więc krew cieknie im po nogach. Ale czy wie pani, że od waszej wizyty w Domu jeszcze przez tydzień pralnia była nieczynna? Woda po kostki, w tej wodzie leży instalacja elektryczna. Żeby dyrektor choć przyszedł zobaczyć, co się dzieje, powiedzieć dziewczynom, które tam pracują, dobre słowo. Jak on się pokazuje na salach, to chorzy pytają, czy to nowy proboszcz?...*

Jestem pielęgniarką oddziałową, robię za oddziałową, odcinkową, często salową. Nie ma czasu, żeby bawić się z chorymi. Trzeba ich nakarmić, dać leki (przedtem różnie bywało, chorych nie leczono, bez zlecenia lekarzy podawano środki psychotropowe, uspokajające), przewinąć. Wyrywają sobie włosy, paznokcie zrywają (brak papierosów) — nie mam nawet możliwości, żeby to pokazać chirurgowi. Lekarze na stałe? Nie — przychodzą tylko na godziny (dwie godziny w tygodniu), plus felczer raz w tygodniu. Psychiatra przyjeżdża raz w tygodniu, gdy już wychodzę; trudno mu nawet przekazać obserwacje. Zawsze się śpieszy, zaganiany, z jednej pracy do drugiej.

Pielęgniarki? — siedem na trzy zmiany, plus wolne dni. Po południu sporadycznie zdarza się, że są trzy, a najczęściej jedna na 80 osób (starzy ludzie ze schorzeniami psychicznymi, głównie schizofrenicy, charakteropaci, pensjonariusze z daleko posuniętą sklerozą), no i jedna salowa. Dyrektor mówi, że w nocy więcej pielęgniarek nie trzeba, bo chorzy śpią... Chętnych do tej pracy zresztą i tak nie ma. Zarobki takie, jak w innych PDPS, a nawet był czas, że mniejsze. Pomimo, że obciążenie tutaj większe. Nie ma czasu obserwować chorych, rozmawiać z nimi. Jak w wolną sobotę jestem na dyżurze, to nie wiem, co najpierw robić, czy karmić mój oddział, czy zanieść leki (bo nie powinni ich brać na czczo), ale potem nie zdążę. To jest taka praca, że człowiek może zupełnie nerwy stracić. Więc nie powinni tu przychodzić tacy, którzy nie mają cierpliwości do starych, niedołężnych ludzi.

OBSZARY BIEDY

— *Jesteśmy związkiem zawodowym, nie instytucją charytatywną. Zajmowanie się opieką społeczną jest bardzo dalekim odbiciem naszych obowiązków statutowych* — mówi *Maria Dmochowska*, przewodnicząca łódzkiej sekcji służby zdrowia NSZZ „Solidarność".

Przy MKZ powstał wczesną wiosną tego roku zespół zajmujący się sprawami opieki społecznej. Pierwszym celem, jaki sobie postawiono, była próba diagnozy, oceny sytuacji. Stąd owe lustracje Domów Pomocy Społecznej. Ale przecież spraw, które krzyczą o pomstę do nieba tak, jak te nie-domy, lecz przechowalnie ludzi (2 metry kwadratowe na osobę), gdzie, jak w Rąbieniu, nie można nawet umrzeć godnie, jest wiele. W Łodzi co rok czeka na miejsce do PDPS około 1,5 tys. osób. Czeka długo. Średnio dwa lata. Jedna trzecia nie doczekuje — umiera. A oczekiwanie to odbywa się w różnych warunkach — nierzadko w komórce, lub pod schodami. A reszta? Przecież ci, którzy decydują się na podanie o przyjęcie ich do Domu Pomocy, nawet jeśli mają rodziny, muszą żyć w piekle, skoro na ten ostateczny krok się decydują. Dziesięć procent osób powyżej 65 lat, unieruchomionych w swych mieszkaniach, czeka na pomoc, na gest cieplejszy, na zainteresowanie otoczenia. Mamy w Łodzi 140 tys. takich ludzi — i taka jest skala potrzeb. Jesteśmy miastem starzejącym się, w którym ponad 200 tys. ludzi ukończyło 60 lat. Proces starzenia się trwa nieprzerwanie. A w Domach Pomocy jest 1700 miejsc... 600 osób obejmuje swym zasięgiem PCK, 400 — pomoc sąsiedzką i PKPS — taka jest skala możliwości.

Nie mówię już o tym, czym są owe domy, kto w nich pracuje, jak mało jest pielęgniarek, ani nawet o tym, że nietrudno zostać dyrektorem takiego domu. Było to jedno z nielicznych stanowisk dyrektorskich, na które nie stawiano nawet formalnych wymogów, jakich spełnienia oczekuje się od pracowników otwartej pomocy społecznej (ośrodki opiekuna społecznego). Mgr *Krystyna Osada* — szef Wojewódzkiego Ośrodka Opiekuna Społecznego twierdzi, że zwracała na to uwagę w Wydziale Zdrowia nie raz. I nie raz jej się za to oberwało...

Pozostaje jeszcze ogromny obszar problemów ludzi niepełnosprawnych. Można sobie wyobrazić, czym jest dla nich przeprowadzenie drobnej naprawy, o remoncie mieszkań nie wspominając.

Wspominam tylko o niektórych sprawach, rzucam je jak hasła. Jest przecież armia ludzi, którzy żyją z zasiłków opieki społecznej. Z miesiąca na miesiąc muszą prosić o pomoc, pozbawiając się resztek godności, bo nierzadko traktuje się ich, jakby żebrali o datki. *Krystyna Osada* — znawca problemów opieki społecznej i *Maria Dmochowska* są zgodne. Istnieje ogromna społeczna potrzeba stworzenia renty społecznej czy socjalnej dla osób nie uprawnionych do emerytury i nie mających krewnych wyznaczonych do alimentacji. Renty te nie powinny być (jak to ma miejsce do tej pory) niższe od minimum socjalnego.

Nie sposób w jednym materiale, choćby był nie wiem jak długi, poruszyć wszystkie, tragicznie wręcz zaniedbane obszary spraw wchodzących w zakres tzw. opieki społecznej. Piszę „tak zwanej", bo do tej pory była to dziedzina, w której odbijały się wszystkie niedostatki naszej polityki socjalnej, dziedzina, gdzie nie ma właściwie niezbędnych przepisów (obowiązuje ustawa z... 1923 roku, formalnie nie stwarzając możliwości działania). Brak przecież kryteriów, brak środków, nie ma żadnych możliwości stworzenia usług dla ludzi starych, niesprawnych, wymagających opieki. Czy jest więc nią w stanie przynieść pracownik socjalny ośrodka opiekuna społecznego (najczęściej młoda kobieta nie wyposażona w stosowną wiedzę praktyczną), któremu podlega 20 tysięcy mieszkańców... Prawie 20 proc. tej liczby stanowią ludzie w wieku emerytalnym, do których taki pracownik socjalny powinien dotrzeć. Jeden na cztery tysiące...

KTO UDERZY?

Taka była wiosną diagnoza sytuacji. Diagnoza przedstawiona przez łódzką „Solidarność" na spotkaniu z ministrem zdrowia i opieki społecznej. Czy się od tego czasu coś zmieniło? Minęło wszak kilka miesięcy. Zmieniły się właściwie tylko władze Wydziału Zdrowia. A poza tym?

Mówiło się, na początku maja, o 500 dodatkowych miejscach w domach pomocy społecznej. Władze miasta (odpowiadając na sugestie „Solidarności") postanowiły przekazać budujący się obiekt OHP przy Lodowej na rzecz pomocy społecznej.

Okazuje się jednak — nie wdając się w szczegóły — że właściwie nie przybędzie tym sposobem ani jedno miejsce. Bowiem domy dotychczasowe są tak stare, że wymagają albo gruntownych, wieloletnich remontów, albo wręcz likwidacji. Słowem, obiekt przy Lodowej — który, nie bardzo wiadomo kiedy będzie ostatecznie gotowy (terminy określa się na 83—84 rok) — natychmiast zajmą pensjonariusze z remontowanych obiektów. Gdzie zaś podzieją się nowi, których przybywa? W dodatku wspomniany obiekt to nie takie znów cudo, skoro na razie nie ma tam ani wind, ani zaplecza gospodarczego (dowożone posiłki?), a drzwi są tak wąskie, że chorego z łóżkiem się nie wywiezie...

Foto: W. Małek

Zastępca dyrektora Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej do spraw tejże opieki, *Włodzimierz Petronko* (z wykształcenia lekarz dentysta, z zamiłowania — jak mawia o sobie — „*pasjonat pracy administracyjnej w służbie zdrowia*") rozkłada ręce. Sytuacja pod tym względem jest trudna. Tak samo, jak trudno o pielęgniarki. Praca w PDPS jest bardzo ciężka, nie ma zaś stosownych zarządzeń, które pozwalałyby ją lepiej wynagradzać. Owszem, dyrektor myśli o możliwości wprowadzenia sióstr zakonnych na wakujące miejsca, ale to też nie jest łatwe, bo przecież są też reguły zakonne... Ale próby będą czynione...

Jeszcze w tym roku, relacjonuje dyr. *Petronko*, trzeba będzie zrobić ocenę kadry dyrektorskiej w PDPS, ale z tym też kłopot, bo nie ma właściwie kryteriów i kto je opracuje? Opieka lekarska w tych placówkach? tak, to jest problem. Kiedyś lekarz był tam na ryczałcie, teraz w ramach godzin. Więc wiadomo, śpieszy się, bo ma jeszcze żłobek, przedszkole, przychodnię...

Plany?... Oczywiście, są. Trzeba np. stworzyć organ doradczy d/s pomocy społecznej (z udziałem „Solidarności"). Trzeba opracować jeszcze w tym roku rzetelny raport o stanie opieki społecznej, itd., itd...

Wierzę w dobre intencje nowego szefa od łódzkiej opieki społecznej. Wierzę również, że niełatwe ma zadanie, ale nie jestem przekonana, że właśnie od raportu trzeba zaczynać. Nie wiem również, czy oglądanie się na wytyczne ministerstwa, a raczej na ich brak, jest najlepszą metodą działania. Tak, jak nie jest nią lament. Gdy nie ma generalnej koncepcji, może potrzebny jest wstrząs? Tylko kto uderzy pięścią w stół? Przecież nie staruszkowie...

SZESNAŚCIE LAT

Dalszy ciąg ze str. 1

Nie była to jednak w żadnym razie feralna „trzynastka", jeżeli mierzyć wartość składających się na nią sztuk. Dorobek Zatorskiego w Teatrze Nowym — i poza nim — powinien stać się przedmiotem głębszych analiz teatrologów Tutaj natomiast chcę w skrócie przypomnieć drogę tego reżysera na scenie Teatru Nowego, przede wszystkim poprzez opisanie krytyki na temat tych sztuk, które cieszyły się największym powodzeniem i powinny zostać w pamięci.

Droga ta zaczęła się w dwa lata po debiucie aktorskim od asystowania reż. Tadeuszowi Mincowi w realizacji „Brytannika" Racine'a (1962) i „Cyrana de Bergerac" Rostanda (1963). Z Mincem współpracował Zatorski również przy inscenizacji „Snu Srebrnego Salomei" Słowackiego (1966), wyróżnionego „Srebrną Łódką" i przeniesionego później na ekran telewizyjny.

Pierwszą samodzielną pracą reżyserską była „Szklana menażeria" Williamsa (1976, scenogr. H Populain). Recenzenci przyjęli życzliwie ten spektakl. J. Panasewicz napisał m. in., że *ze znakomitą robotą aktorską łączy się w nim precyzyjnia, logiczna reżyseria Witolda Zatorskiego, który z rzadką u młodych reżyserów konsekwencją narzucił aktorom wspólny rytm i zadbał o jednolite środki wyrazu.*

Po tym debiucie nastąpił zwrot ku polskiej i obcej klasyce. W jej kręgu bodaj najchętniej pozostawał Zatorski, zwłaszcza w pierwszym okresie, realizując spektakle, w których skromność i szacunek dla autora łączyły się z pełnym indywidualnej inwencji, współczesnym odczytaniem literackiej tradycji Przypomnę adresowane głównie do młodych widzów (choć nie tylko) premiery *„Żeglarza" Szaniawskiego* (1968), fredrowskich *„Dam i huzarów"* (1967) i *„Zemsty"* (1970) oraz *„Rewizora" Gogola* (1968, przeniesiony także na ekran TV), którego popularności nie przyćmiła nawet ostatnia łódzka premiera tej ostatniej sztuki, w Teatrze im. Stefana Jaracza.

Już w tych spektaklach, a więc stosunkowo wcześnie, ujawniły się *charakterystyczne rysy twórczości Zatorskiego: umiejętność znajdywania własnego klucza do interpretacji literatury na scenie i celnego trafiania do widzów*, czego jednak nie należy mylić ze schlebianiem łatwym gustom. Była to wynikająca z głębokiego przemyślenia utworu zdolność narzucania publiczności scenicznej wizji — środkami dyskretnymi, pełnymi umiaru, dalekimi od formalnych udziwnień, a równocześnie zaskakująco prostymi i przekonywającymi właśnie dzięki tej prostocie. *W powodzi przedstawień hałaśliwych, obliczonych na epatowanie reżyserskimi „pomysłami", pseudoawangardowymi „chwytami"* (przybrały one charakter wręcz epidemii na przełomie lat 60 i 70), *prace Zatorskiego wyróżniały się godnym podkreślenia, inscenizatorskim umiarkowaniem, dobrym smakiem, skromnością. Cechy te ujawniały się z powodzeniem w propozycjach gatunkowo różnych, a nieraz nawet skrajnych. Z jednej strony więc np. w wystawionych w 1971 r. „Kaprysach Marianny"*, w których udało się Zatorskiemu idealnie uchwycić i przenieść na scenę mussetowski nastrój, lekkość i wdzięk, *z drugiej zaś w* — znajdującym się na przeciwnym biegunie — *dramacie S. I. Witkiewicza „W małym dworku" (1970)*, o którego realizacji jeden z recenzentów napisał (nie będąc w tych stwierdzeniach odosobniony), iż jest *przykładem szczęśliwego połączenia inwencji inscenizatorskiej ze skromnością i szacunkiem dla tekstu autora, co w końcu „dało efekt znakomity, niezwykłą prostotę i naturalność spektaklu.*

Cechy te nie oznaczały wszakże przesadnej powściągliwości czy ascezy, czego liczne dowody składał Zatorski w pełnych wigoru i żywiołowości, rubasznej nieraz wesołości, „rozbuchanych" inscenizacjach Fredry, Gogola i Diderota. „Umiarkowanie" nie krępowało wcale własnych poszukiwań w dziedzinie środków formalnych. Potrafił w nich Zatorski wykorzystać niektóre doświadczenia XX-wiecznego teatralnego laboratorium, a nawet — jak sądzę — dołożyć do nich swoją „cegiełkę" („Czekając na Godota". „Kubuś Fatalista"). Zawsze jednak w tych poszukiwaniach, także tam, gdzie pokusa „wzbogacania" czy „udziwniania" dramatu wydaje się przemożna, wręcz nie do odparcia (Witkacy, Beckett), zachowane były stałe cechy reżyserskiej postawy; tworzące jak gdyby wspólny mianownik realizowanych przez Zatorskiego przedstawień, firmowy znak rozpoznawczy jego stylu... Wymienione określenia niemal stale zresztą powtarzały się w recenzjach z różnych premier.

Wkrótce po „Rewizorze" wyreżyserował Zatorski *„Życie jest snem" Calderona (1969). Spektakl ten uznany został za najciekawszy w sezonie 1969/70 w Łodzi* (a zdaniem wielu określany jako wybitny) i *uhonorowany „Srebrną Łódką"*. Sygnalizował on dalszy wzrost inscenizatorskich ambicji Zatorskiego. Świadczy o tym sam fakt sięgnięcie po nowy, swobodny, ambitniejszy od poprzednich przekład (czy raczej przeróbkę nazywaną „imitacją") pióra J. M. Rymkiewicza, jak i realizacja: klarowna, skupiona na głównej — filozoficzno-moralnej problematyce sztuki, świetna aktorsko. Istotą tego sukcesu było znakomite przystosowanie XVII-wiecznego utworu do sceny współczesnej. W biografii twórczej Zatorskiego spektakl ten nie był przypadkiem. Podobnie jak późniejsze próby przenoszenia na scenę powieści Diderota i Cervantesa (pt. „Pan Lamercie gra Don Kichota" w warszawskim Teatrze Dramatycznym w 1979 r.), mówi on o żywym stosunku reżysera do literackiej tradycji, o jego zainteresowaniu próbami nowego odczytywania klasycznego kanonu za pomocą teatru Była to jedna z charakterystycznych cech jego artystycznej postawy. Wydaje się, że w tej dziedzinie miał on jeszcze wiele do powiedzenia.

Jeszcze większą popularnością wśród widzów i uznaniem krytyki niż „Życie jest snem" (warto zwrócić uwagę na tę zgodność ocen publiczności i recenzentów; w teatrze jest to zjawieko rzadkie, spektaklom reżyserowanym przez Zatorskiego zdarzała się ona jednak częściej niż innym) cieszyła się inscenizacja XVIII-wiecznej powiastki filozoficznej *Diderota „Kubuś Fatalista"* (1974, scenogr. Jerzy Grzegorzewski, muz. Stanisław Radwan). Adaptację (czy właściwie scenariusz) oraz teksty piosenek napisał sam reżyser. *Spektakl przyniósł kolejną „Srebrną Łódkę" dla Teatru Nowego i był prezentowany podczas Panoramy XXX-lecia w Warszawie*, gdzie okazał się najbardziej atrakcyjnym ze wszystkich łódzkich przedstawień (żałowano, że występy trwały tylko 3 dni) Nieczęsto spotyka się równie entuzjastyczne i „jednogłośne" opinie krytyki, jakie wywołała warszawska wizyta „Kubusia" (zwłaszcza w stosunku do teatrów pozawarszawskich!). *August Grodzicki* w zamieszczonej w „Życiu Warszawy" recenzji pt. *Duży sukces Teatru Nowego*, zachwycał się: *Cóż za urocze przedstawienie! Z osiamnastowiecznej powiastki, mądrej, frywolnej i zabawnej, powstał minimusical współczesny w środkach teatralnych i w pełni udany (...) Wszystko podane z umiarem i dyskretnym humorem, bez przyciskania pedału, bez wulgaryzmów — w prawdziwie dobrym smaku! Jest to podaj pierwsza w świecie adaptacja tej sławnej powieści* — podkreślał na łamach *„Trybuny Ludu" Jan Alfred Szczepański (Jaszcz) — Trudności przy próbie przeniesienia jej wątków na scenę zdawać się mogły nie do pokonania. Reżyser porwał się na nie zuchwale i — wygrał, w stylu brawurowym, budując z opowieści Diderota przedstawienie zwarte, pełne pomysłów w dobrym smaku i zrealizowane podług dobrze zastosowanej konwencji teatru estradowego.*

Na inne walory sztuki zwrócił uwagę *Andrzej Hausbrandt „Express Wieczorny"*: jego zdaniem W. Zatorski *pokazał jak bez zatracania wartości oryginału można „sprzedawać" dzisiejszej współczesnej publiczności klasykę. Jak czynić ją żywą, interesującą, zabawną, jak przekładać XVIII-wieczną fabułę na XX-wieczne środki ekspresji. Szalejący po scenie i na widowni spektakl Zatorskiego* — stwierdził krytyk — *ani przez chwilę nie przestaję być Diderotowski, to znaczy myślącym, filozofującym, pełnym sceptycyzmu wykładem (...) Mały, lecz niezwykle sprawny zespół realizatorów należy pochwalić nie tylko za wyrównany poziom, ale w pierwszym rzędzie za znakomite wręcz opanowanie zadań ruchowych. Niektórzy dzielą teatr na rozrywkowy i poznawczy* — konkludowała *Barbara Henkel w „Sztandarze Młodych". — Zdarzają się jednak (niezbyt często, niestety) przedstawienia, które łączą w sobie harmonijnie te dwa przymioty. Należy do nich właśnie łódzka inscenizacja (...) Realizatorzy pokazali na czym polega magia teatru, jak słowo, nie pisane przecież specjalnie dla sceny, może na niej ożyć, nabrać plastycznych kształtów.*

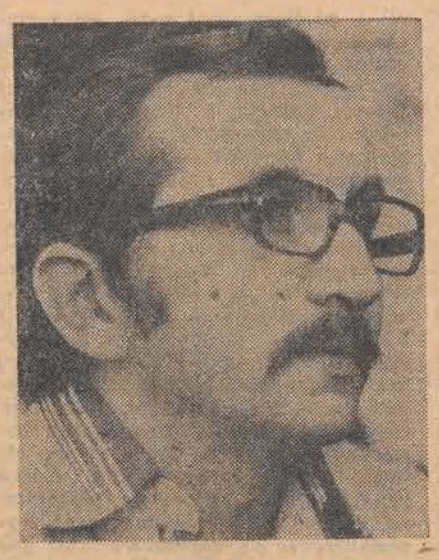

Foto: W. Parys

Pod tym względem *„Kubuś Fatalista" był kontynuacją drogi rozpoczętej inscenizacjami Gogola i Fredry. Wcielał w życie starą i ważną, lecz niełatwo osiągalną w rzeczywistości, dewizę „bawiąc — uczyć"*. Nie stroniąc od odkrywania wad ludzkiej natury, głosił filozofię zdrowego rozsądku, sceptycyzm godził z optymizmem.

To łączenie sprzeczności jest znamienne dla poszukiwań artystycznych Zatorskiego. Wydaje się, że obca mu była fascynacja filozofią pesymizmu czybeznaj *czy beznadziejności*, że nawet w największym natężeniu tragizmu szukał pierwiastka nadziei, pocieszenia, a od wszelkich skrajności bliższa mu była zasada „złotego środka". *Uwidaczniało się to* nie tylko w — o czym już była tu mowa — pełnym umiaru stylu, w sposobie traktowania teatralnych środków, ale także *w umiejętności osiągania niezwykłej równowagi i harmonii nawet tam, gdzie* — jak by się mogło wydawać — *dominuje tragizm i zwycięża czarnowidztwo. Znakomitym przykładem jest tu inscenizacja „Czekając na Godota" Becketta (1973)* — klasycznego już dzieła francuskiego egzystencjalizmu.

Po premierze tego dramatu w łódzkim Teatrze Nowym *krytycy zwrócili uwagę na nadzwyczajną czystość, z jaką przedstawił Zatorski ludzki los, nie gubiąc przy tym wszystkich uwikłań, udręk, i nie rozwiązywalnych dylematów egzystencji człowieka*. Ale nie nihilizm, przyblakły po 20 latach od paryskiej premiery, pociągnął reżysera w stronę tej „metafizycznej farsy", ani też pokusa zamienienia sceny teatru — zgodnie z intencją Becketta — w „ślepy zaułek ludzkiego losu"; „końcową stację człowieka — wiecznego wędrowca" (Alfred Simon), którego rozum skazany jest na klęskę wobec rozpadu i nicości. Wydaje się, że nawet w filozofii rozpaczy szukał — i znalazł — Zatorski element nadziei. *Odczytywał on bowiem tę sztukę jako metaforę ludzkiego marzenia o szczęściu, a zatem poprzez pryzmat wszechobecnej w sztuce Becketta poezji.*

W interpretacji Zatorskiego dwuaktówka francuskiego egzystencjalisty nie była więc — jak podkreślali krytycy — „unowocześnionym apokryfem o cierpiącym Hiobie" czy tylko „makabreska" ale *„wielkim poematem", rozgrywającym się w imaginacji poety przy pomocy bohaterów, z których każdy wyrażał jedno z wewnętrznych „ja" autora i był stroną w nieustającym sporze, w niecierpliwym szukaniu odpowiedzi na podstawowe pytania egzystencji człowieka.*

To właśnie darowi poetyckiemu Becketta zawdzięcza „Czekając na Godota" swoje powodzenie na scenach świata — umiejętności łączenia humoru i szyderstwa, tragizmu i klownowskich gagów. Zatorski z wielką subtelnością i wyczuciem poszedł tym tropem, a istotą jego sukcesu stało się osiągnięcie stanu idealnej harmonii między tymi sprzecznymi pierwiastkami, doskonałe wyważenie nut tragicznych i komicznych, wątków z jednej strony brutalnych, drastycznych, z drugiej zaś ujawniających najsubtelniejsze niuanse ludzkiej duszy.

Sukces był tym większy, że przecież sztuka nie była po 20 latach nowością, ani sensacją. Była — i jest nadal — jednak wielką próbą sił dla reżysera i aktorów, sprawdzianem ich warsztatu. Po łódzkiej premierze krytycy uznali przedstawienie za „piękne i wybitne", „godne głębokich analiz krytycznych"; ktoś zatytułował nawet swą recenzję: „Koncert z Becketta"... *A. Krajewska-Wieczorek* napisała w *„Odgłosach"* m. in., *że reżyser „dał dowody szlachetnej skromności i iście gigantycznej pracy, którą jednak uwieńczył pełen sukces całego zespołu. Niełatwo osiągnąć taką czystość stylu w dramacie, gdzie niczego nie dopowiada się do końca, gdzie w interpretacji co krok pojawiają się nowe trudności* — stwierdziła recenzentka. Wskazywano na precyzję i doskonałość w przemyśleniu szczegółów, na „niezwykle czystą w rysunku kompozycję" spektaklu na „świadome i celowe posługiwanie się ciałem i gestem aktorów". Z bardzo wysoką oceną spotkały się wszystkie cztery role: B. Sochnackiego, Z. Józefowicza, Z. Malawskiego i R. Stogowskiego, ale rolę ostatniego z tej czwórki (Lucky) zgodnie określono jako „rewelację", a nawet „objawienie". Była to zasługa wymienionych, ale także reżysera, pod którego okiem niejeden aktor Teatru Nowego zabłysnął na scenie grą najwyższej próby (nie tylko zresztą w „Godocie"). *Wyrazem uznania dla aktorów były medale Łódzkiej Wiosny Artystycznej oraz nagroda na XIV Kaliskich Spotkaniach Teatralnych (dla R. Stogowskiego).*

To, że skupiłem się tu na najbardziej wartościowych dokonaniach Zatorskiego w łódzkim Teatrze Nowym, nie oznacza, iż nie było prac słabszych czy bardziej kontrowersyjnych. Niewątpliwie były i takie (szczególnie ciekawy jest przypadek *„Szczęśliwych dni" Arbuzowa*, zrealizowanych w 1972 r., które spotkały się z życzliwym przyjęciem łódzkich recenzentów i bardzo krytycznym warszawskich: na ten sam temat wypowiadano wręcz dokładnie odwrotne opinie!). Jest to naturalne przy takiej aktywności twórczej, jaką prezentował reżyser. Od momentu samodzielnego debiutu (który przypadł dość późno, bo w wieku 30 lat), w kwietniu 1967, do premiery „Wujaszka Wani" Czechowa w lutym w 1976 roku nie minęło dziesięć lat. W międzyczasie wprowadził Zatorski na scenę Teatru Nowego 13 sztuk 12 autorów (dwukrotnie — Fredry) reprezentujących literaturę polską, hiszpańską, francuską, amerykańską, angielską i rosyjską: od Calderona do Williamsa, od Musseta do Becketta... Nawet laikom od razu rzuca się w oczy ogromna rozpiętość i różnorodność gatunków, tematów, filozofii... Szukał wśród nich Zatorski siebie, swojego stylu. I myślę, że znalazł. Przypomniałem tu kilka jego cech (reszta należy do badaczy) i sądzę, że jest coś, co łączy te nazwiska, tytuły i premiery, co je spaja... Jest to — wyjąwszy rzetelność warsztatu i inne wymienione już atrybuty — umiejętność odnajdywania i wydobywania na scenie tego, co jest bliskie i przydatne współczesnemu widzowi, co pomoże mu znajdywać odpowiedź na główne pytania egzystencji... Teatr Zatorskiego potrafił bawić i relaksować, nie stronił od komedii, ba! chętnie do niej sięgał... Ale najważniejszym, jak sądzę, jego zadaniem było szukanie — wraz z widzem — odpowiedzi na powracające co wieczór pytania bohaterów Calderona i Szaniawskiego, Diderota i Becketta. W teatrze Zatorskiego wiele z nich okazywało się pytaniami współczesnego widza. Teatr ten bowiem rozgrywał się między kulturą (literaturą, filozofią ..), a światem życia codziennego, oscylując między nimi i czerpiąc z obu. Dwa nierozerwalne źródła zasilały zawsze ten teatr. I w tym była jego siła.

TOMASZ SOLDENHOFF

Foto: A. Brustman

Teatr Nowy: D. Diderot „Kubuś Fatalista", reż. Witold Zatorski

JERZY WILMAŃSKI

ŚWIATOPOGLĄD POETYCKI STANISŁAWA CZERNIKA

Pół wieku temu Stanisław Czernik opublikował swoją pierwszą książkę poetycką. Trzydzieści lat temu — po wojennej tułaczce — osiedlił się w Łodzi. W swoim archiwum mam życiorys i bibliografię wszystkich książek Stanisława Czernika spisane przez niego na dwa miesiące przed śmiercią — jesienią 1969 roku. W ciągu 38 lat pracy pisarskiej wydał Czernik 12 tomów poezji, 15 powieści i zbiorów opowiadań oraz 23 tomy esejów, wspomnień przekładów, dramatów i opracowań historycznoliterackich, głównie dotyczących kultury ludowej. Pięćdziesiąt książek — oto dorobek twórczy Stanisława Czernika.

Pisać o poezji Stanisława Czernika to zadanie niełatwe. Pisać pomijając ów bagaż krytycznych i polonistycznych ustaleń i sądów, nie sposób. A jednocześnie powtarzać utarte sądy, wkraczać w obszary zamkniętych już epok literackich, ekshumować?

Myślę, że nie historia literatury, ale poezja Stanisława Czernika powinna być punktem wyjścia tych uwag, uwag nie krytyka lecz czytelnika poezji.

Stanisław Czernik pisał:

Narozdawałem siebie
Wiele przez wiele lat.
Na prawo i na lewo.
Narozdawałem siebie.
Ten i ów brał
Ile się dało.
Przymykałem oczy, gdzie mnie kradł
Zachęcałem:
Dobierz, gdy mało.
Narozdawałem siebie,
Aż dziwię się dziś
Że jeszcze tyle mi zostało.

Właśnie, „że jeszcze tyle mi zostało", że tyle zostało nam, czytającym i piszącym wiersze. *Stanisław Czernik dał polskiej poezji utwory drgające nutą wzruszenia, wiersze nachylone w stronę człowieka, wiersze gorące, żywe.* To nam po nim zostało. Poezja.

Ale Stanisław Czernik pozostawił nam więcej. *Pozostawił nam swój światopogląd — aktualny, żywy, do przyjęcia i dziś i jutro.* Historyk literatury powie: *autentyzm*, kierunek poetycki w polskiej literaturze międzywojennej. Historyk literatury powie: *program autentyzmu zarysowany był jedynie w ogólnych założeniach.*

To prawda i nieprawda zarazem. Autentyzm nie był kierunkiem poetyckim. Nie miał nic wspólnego z ortodoksyjnymi postulatami żadnej z licznych awangard, nie miał nic wspólnego z manifestami i programami poetyckimi, głoszącymi wyłączność swojej wizji świata. Był koncepcją otwartą jak krajobraz aż do linii horyzontu. Myślę, że w odniesieniu do poezji mają sens wyłącznie takie „ogólne założenia". Poezja jest z samej swojej istoty materią tak kapryśną, tak ulotną, tak nieznoszącą sztywnych ram programów i manifestów, że tylko program otwarty, światopogląd szeroki ma szansę na jej terenie znaleźć kontynuatorów. *Autentyzm Stanisława Czernika nie był żadną olśniewającą banią nowatorstwa. Przypomniał po prostu i zaproponował prawidła dla poezji fundamentalne.* Prawidła — chciałoby się rzec — oczywiste, ale przecież jakże często zapomniane i lekceważone.

Bowiem program autentyzmu był niezwykle prosty. Głosił, najogólniej biorąc, że materiał treściowy nie może być surogatem, lecz odpowiednikiem rzeczywistych, pełnowartościowych przeżyć poety. *Był to program* — wspomina po latach Stanisław Czernik — *oderwania się od pospolitej poetyczności, od surogatów zastępujących treść przeżyć, od literackości i treści pozorujących poezję, słowem, od liryki bez pokrycia.* Owe tezy, pozornie niezbyt oryginalne, były jednak swego rodzaju nowością na tle ówczesnej kultury.

A dziś? Przecież i dziś postulat oderwania się od pospolitej poetyczności jest aktualny. Inna jest dzisiejsza pospolita poetyczność, to prawda. Ukryła się pod płaszczem literackich mód i nowinek, sprawia nieraz wrażenie nowatorstwa, ale kryją się za nią te same pozory poezji, zastępujące autentyzm przeżyć lekturą modnych poetów.

A przecież wartości mody są wartościami mini lub maxi ale jednako zawodnymi w sztuce. Na tym terenie ważne jest to, co zostało nam dane przez własną historię, własne doświadczenie, własną tradycję, własną skalę talentu wreszcie. Nie przypadkowo przywołał Stanisław Czernik w redagowanej przez siebie „Rzeczy poetyckiej" — autorytet Reinera Marii Rilkego. Niemiecki romantyk w liście do młodego poety pisał:

„Niech Pan ucieka od tematów ogólnikowych do tych, których dostarcza Panu własne, codzienne życie. Niech Pan odtwarza swoje smutki i radości, przemijające chwile i wiarę w jakoweś piękno — niech Pan odtwarza to wszystko z wewnętrzną cichą i pełną pokory uczciwością, używając do ich wyrażenia słów i pojęć z własnego otoczenia, obrazów z własnych snów i marzeń, obiektów z własnych wspomnień. Jeśli Pańskie życie powszechnie wyda się ubogie, niech Pan go nie oskarża. Należy raczej oskarżać siebie, należy sobie powiedzieć, że jest się nie dość poetą, by móc wyczarować wszystkie swoje bogactwa. Albowiem dla prawdziwego twórcy nie ma ubóstwa i żadne miejsce na ziemi nie jest dlań puste, ani obojętne.

Stanisław Czernik niejako podpisał się pod tymi słowami, otwierając tekstem Rilkego jeden z zeszytów „Rzeczy poetyckiej". Nie ma w tym tekście postulatów formalnych, jest istota rzeczy, ta sama istota, która legła u podstaw czernikowskiego autentyzmu.

Stanisława Czernika klucz do poezji próbował właśnie otwierać istotę rzeczy. Poeta był poza sporami grup obrzucających się nawzajem epitetami „katarynki" i „bełkotu". *Nie wersyfikację uważał za istotę poezji, ale to, czym pulsuje wiersz.* Sam przecież stosował różne techniki. Pisał:

„Gdy zwiędłe liście lecą w krąg,
Niech się naczytam za stulecia
Niech się naczytam starych ksiąg —
Z żalem, że nowe mnie ominą.
Jesień. Godziny, liście płyną..."

I pisał również tak:

„Ileż samego siebie nazbierałem
Ileż się naposiadałem,
Nagubiłem
Naodkrywałem
A wśród tej mnogości
Już siebie czasem nie poznaję.
Już dziwię się sobie,
Że za dużo „mnie" we mnie
I świata we mnie za wiele.
I mnie za wiele na świecie.
Więc się oczami zamykam".

Autentyzm nie był programem formalnym, był natomiast wypracowaną solidnie jeszcze w młodości poety rzetelną postawą wobec życia i sztuki. Nic więc dziwnego, że w owej postawie nie było miejsca na sztywne gorsety manifestów i ścisłych formułek. Była to postawa otwarta, nie głosząca nakazów formalnych. Eksponowała natomiast ten jeden, fundamentalny dla poezji postulat, zawarty w słowie, które weszło do historii literatury. Autentyzm przeżyć poetyckich.

Tak więc dziś owa otwartość postawy Stanisława Czernika upoważnia historyka literatury do sformułowania: „autentyzm zarysowany był jedynie w ogólnych założeniach". Ale to nie brak, nie ułomność poetyckiego programu autentyzmu. To walor, który dziś czyni z koncepcji Stanisława Czernika światopogląd poetycki — nie grupę, nie manifest.

Wiele lat temu Stanisław Czernik redagował antologię poetycką „Młodzi", która ukazała się w serii zeszytów „Rzeczy poetyckiej" Wydawnictwa Łódzkiego. Znajdziemy tam utwory debiutujących wówczas: *Jarosława Marka Rymkiewicza* i *Elżbiety Zechenter*, znajdziemy wiersze *Tadeusza Gicgiera* i *Józefa Rajtczaka*... Ci — jakże poeci — znaleźli miejsce w czernikowskim tomie, bez względu na dzielące ich różnice poetyckich wizji. Ale prawda, poetycka prawda własnych rozpoczynających się biografii twórczych, połączyła ich wspólną okładką tomu.

Oczywiście, znajdujemy dziś wśród autorów czernikowskiej antologii nazwiska nieznane na poetyckiej mapie kraju. Są tam dzisiejsi aktorzy, historycy sztuki, publicyści, naukowcy — wreszcie z pisarze, dramaturdzy, prozaicy... Jeśli dziś nie piszą wierszy, to jedno jest pewne, że je czytają. Ze *zostali wiernymi czytelnikami poezji, że tworzą to, o czym marzył Stanisław Czernik. Tworzą kult sztuki, entuzjazmują się sztuką. Zarzucisz mi może, że pragnąłbym widzieć świat jakby utopię, jakby krainę zamieszkałą przez poetów — pisał w roku 1937 w liście do młodego poety — Odpowiem ci, że takiej krainy nie wyobrażam sobie. Natomiast wyobrażam sobie inną, mniejszą utopię, którą zawsze w myślach przeciwstawiam dzisiejszej rzeczywistości. (...) Czy nie uważasz za możliwe, że może powstać kult sztuki powszechny? (...) Jeśli wyobrażam sobie ludzkość przyszłości, to przede wszystkim widzę człowieka — artystę w życiu codziennym.*

Być może, surowy krytyk zarzuciłby dziś Stanisławowi Czernikow zbytnią tolerancyjność w stosunku do prób ówczesnych adeptów poezji, zbytnią „ulgowość" w ocenie jakości zamieszczonych tam wierszy. Ale przecież poeta pisał: *Nie potępiam oczywiście jakości jako takiej (samej w sobie) — to dla mnie wspaniałe szczyty twórczej duszy ludzkiej, przystanie, do których uciekam w rozterce, gdy zaczynam wątpić w człowieka. Cóż jest wspanialsze nad poezję Mickiewicza. Tego rodzaju jakości budzą zawsze wiarę małego, słabego poety.*

Ale nie mogę się zgodzić na praktyczne zastosowanie wymienionego pojęcia, na metodę, która zmusza i każe nam żyć w twórczej bierności, w cieniu jednego geniusza, lub szukać pozorów, świętokradzko naśladować, by cieniem mistrza oświecić naszą małość. Oto rodzaj szarlatanerii, zjawisko zabijające człowieka twórczego, niszczące kulturę". „Rozróżniam bowiem kilka jakości. Istnieje przecież stopniowanie osiągnięć. Istnieją różne natury ludzkie, zdolne tylko częściowo wytwarzać rzeczy, wartościowe lub półwartościowe, które nigdy nie będą wiecznotrwałe, ale chwilowym swym istnieniem potrzebne i konieczne. Jakość powstaje tam, gdzie budzi się twórca, w naturalny niejako sposób przetwarzając z gleby soki na kulturalne wartości, po swojemu, z własnych pobudek, własnym, chociażby niedołężnym, sposobem.

Pomyśl też o ilości — pisał Stanisław Czernik w cytowanym już liście do młodego poety w roku 1937. — Wtedy będziesz żałował straconych istnień, wtedy zrozumiesz, że to wzgórze prochu nie wypaliło się duchem, lecz sczesło marnie i nietwórczo, a pozostawione jakości to raczej przypadki — piękne, bardzo piękne, ale smutne dokumenty wobec straconych, nie wydobytych innych jakości

Jakości z ilości — ten motyw powtarza się często. Nie lekceważmy ilości — przestrzegał Stanisław Czernik, co rozumiem w ten sposób: nie kpijmy ze stu tysięcy poetów piszących w Polsce wiersze. Nie lekceważmy ruchów kulturowych, które gromadzą i łączą zastępy piszących. Jest to bowiem spulchnianie gleby, jest to rozbijanie twardej grudy obojętności na poetyckie słowo.

I tu dochodzimy do sprawy upowszechnienia twórczości poetyckiej, którą nie kto inny, jak właśnie Stanisław Czernik przed blisko czterdziestu laty nazwał „zagadnieniem 100 tysięcy poetów". Pisał wówczas, że go ani ta liczba, ani ta sprawa nie trwoży. Wprost przeciwnie.

Sto tysięcy poetów! Fantastyczna to liczba, która może okazać się rzeczywistością dopiero w symbolicznym roku 2000. W tym kierunku zmierza nurt przemian współczesnych w naszym kraju. Liczba —

„Autentyzm Stanisława Czernika nie był żadną olśniewającą banią nowatorstwa"

postawiona kiedyś w polemicznym ferworze nie musi się sprawdzić, chociaż się na to zanosi, ale jest to liczba realistyczna, nie wyssana z palca, nie wysnuta z papierowej pseudofantastyki, pochodzi z wiedzy o szczególnych możliwościach zatajonych w polskim podglebiu ludowym. Osobliwa to predyspozycja ludu polskiego — skłonność do pióra, do wierszopisarstwa przede wszystkim. Na niektórych obszarach jak np. w województwie rzeszowskim, lubelskim, białostockim i na innych terenach mniej dotkniętych przez kulturę mieszczańską (a właściwie drobnomieszczańską), co drugi, trzeci, czwarty chłop był potencjalnym artystą — poetą, śpiewakiem, muzykiem, malarzem, rzeźbiarzem, aktorem — a sprawa przejścia ze stanu potencjalnego do rzeczywistości twórczej wydawała się przemianą naturalną. Posiadając takie podglebie, inaczej można patrzeć na nurt rozwojowy zainteresowań twórczych. Sto tysięcy poetów — liczba ta może przerażać poetów zawodowych, ale zawodowość w poezji jest właśnie zjawiskiem antykulturalnym. Prawdziwy poeta nie powinien być zawodowcem, lecz wolnym twórcą. W tym kierunku zmierza ewolucja życia poetyckiego w naszym kraju. Są to przeobrażenia wielkiej wagi, przekształcające całość tej dziwnej złożoności, którą nazywamy poezją, przekształcające postawę twórczą poety w sposób dotychczas niespotykany aż do zjawiska powszechności. Zanosi się na to. Jak na dobrą pogodę. Jak na twórczą burzę.

Ta bardzo poetycka wizja społeczeństwa piszących zawiera, wbrew pozorom, bardzo mało pierwiastków utopii. Aktywny udział nieprofesjonalistów w tworzeniu sztuki jest przecież ważnym czynnikiem kulturotwórczym. Czy jest zresztą granica między profesją a potrzebą serca? Poezja jest — jak już powiedziano — dziwną złożonością, linie podziału wewnątrz tego obszaru bywają nieostre, nieprecyzyjne i, co tu kryć, zawodne. O wartościach — kulturowych i artystycznych — nie decydują stopnie krzykliwości tego czy innego kręgu piszących. Ale fakt istnienia owych kręgów — to dobry fakt.

Wracając do początku tych rozważań, do wiersza Stanisława Czernika z owym zadziwieniem, „że jeszcze tyle mi zostało" — przyjdzie nam zastanowić się nad pytaniami stawianymi przez poetę. Kim jestem? Skąd przybywam? Co zostawiłem innym? Ile zostało w ludziach, że mnie, z mojego poetyckiego trudu?

Są to pytania, na które musi odpowiedzieć sobie każdy artysta, jeśli chce znaleźć swoje miejsce w czasie, w strumieniu rzeczywistości. Świadomość własnej drogi, świadomość „podglebia", z którego wyrasta sztuka, tworzona sercem i umysłem wielkich i małych poetów — oto czernikowski postulat żywej poezji. Świadomość ziemi, z której „pot przodków, sól i gorycz".

Polskiej ziemi.
„Z niej poezja
Ludziom wierna
Najwierniejsza".

To piękna postawa wobec sztuki — jak piękna pogoda w letnie rano, kiedy nad horyzontem bieleje jeszcze księżyc i niebo czyste i biel chmur na błękicie, i słońce i wiatr... Wielość elementów pięknej pogody daje dopiero to piękno pełne, doskonałe. Stanisław Czernik marzył chyba o takiej właśnie poezji — złożonej z wielości. Nie eliminował ani chmur, ani wiatru, ani księżyca — jeśli były prawdziwe. Eliminował natomiast imitację, fałsz, kalkę literacką i wzruszeniową.

I jest to postawa, światopogląd, które nie umarły wraz z epoką dwudziestolecia międzywojennego, których nie skrył piach na łódzkim cmentarzu 4 grudnia 1969 roku.

Jest to postawa, którą może przyjąć każdy poeta współczesny, którą każdy poeta przyjmuje, jeśli naprawdę jest poetą. Bez względu na skalę talentu i kierunek poetyckiej drogi. Bez względu na to, czy zechce nazwać się autentystą.

Krzykliwość skamandrytów, spory awangardy dawno już przysypał czas, stały się kategorią historyczną, połyskującą nieraz bardzo pięknie, ale dziś już tylko kategorią historyczną. A światopogląd poetycki Stanisława Czernika dany jest nam dziś, na jutro — na dobre i złe polskiej poezji

PROZA

LUDOWA MĄDROŚĆ I POZORY

Jarosław Iwaszkiewicz, otwierając przedostatni kongres tłumaczy literatury polskiej powiedział, że tym, co najwyraźniej odróżnia współczesną literaturę polską od innych literatur Europy jest nurt wiejski. Zjawisko, a raczej szereg zjawisk, określanych w ten sposób (czy też inaczej: jako nurt chłopski, temat wiejski itp.) jest niezwykle bogate — zarówno bogactwo problemów, jak i wielość artystycznych realizacji, wymaga ciągłego porządkowania. Toteż krytyka literacka stosunkowo często i chętnie wypowiadała się w tej kwestii. Również w postaci osobnych książek, by przykładowo wymienić „Kuszenie Hamleta" Stefana Lichańskiego, „Przypisanych tej ziemi" Feliksa Fornalczyka, „Związki naturalne" Henryka Berezy (niedawno, jak pamiętamy, wznowione i poszerzone) czy pracę zbiorową „Literatura a przemiany społeczne". Książki te, rzecz prosta, sprawy nie wyczerpują, siłą rzeczy pojawiają się więc kolejne propozycje porządkujące.

Taką właśnie propozycję stanowi książka *Stanisława Burkota „Marchołt na Parnasie"*. Także ona sprawy nie wyczerpuje. Nie o to wszakże chodzi.

Burkot dał książkę krytyczną, własną propozycję uporządkowania wspomnianego zjawiska, wolno mu więc widzieć twórców i utwory w sposób odrębny, wolno polemizować, nawet jeżeli wywołać to może rozmaite sprzeciwy. Na tym przecież polega — między innymi — rola krytyki literackiej.

Jak oświadcza autor we wstępie, książki ta *„opowiada historię, która się u nas zdarzyła, historię awansu plebejusza, a ściślej — plebejskości — w literaturze i kulturze"*. Złożyły się na nią szkice ułożone według pewnej zasady: otwierający zbiór szkic tytułowy kreśli ogólną wizję uobywatelnienia literatury powiązanej genetycznie z polską wsią, wskazuje tradycję, pokazuje miejsce tej twórczości w dzisiejszym życiu literackim; szkice kolejne przedstawiają i wyjaśniają poszczególne tendencje.

Średniowieczny Marchołt, spowinowacony z Ezopem i Sowizdrzałem, jakkolwiek „gruby a prośny", był też — a może przede wszystkim — „barzo zwymowny", co samo przez się świadczyło o docenieniu „niskiej" kultury plebejskiej, jej rubaszności, dosadności, trafności, a więc po prostu łączności z życiem. Tę to postać, spopularyzowaną u nas za sprawą bakałarza Jana z Koszyczek, czyni Burkot swoistym symbolem plebejskiego nurtu naszej literatury, jego odrębności, wynikającej z odrębności społecznego położenia i odrębnego sposobu widzenia świata. Współcześni zaś twórcy o wiejskim rodowodzie, który zdeterminował treść i sposób ich wypowiedzi — to zdaniem Burkota „Marchołtowe plemię". Metafora wymowna, choć może nieco przesadna, bo tworzona przez owo „plemię" literatura mocno jest zróżnicowana (zwłaszcza jeśli dorobek powojenny poszerzymy o kontekst dwudziestolecia międzywojennego), a dominujące w rzeczonym nurcie aspiracje społeczne nie we wszystkich przypadkach są pierwszoplanowe. Lecz nie bądźmy zbyt drobiazgowi — obrazowość tej metafory bardzo się autorowi przydaje, pozwala bowiem wiele zjawisk sprowadzić do wspólnego mianownika, który najprościej da się określić jako „ludowa mądrość".

O metodzie porządkowania z jednej strony oraz o emocjonalnym, osobistym stosunku autora wobec przedstawionych spraw wymownie świadczą tytuły kolejnych szkiców. Gwoli egzemplifikacji przytoczmy kilka: „Współczucie i samotność", „W kręgu chłopskiego radykalizmu", „Mitotwórcy, ironiści i kontynuacje". Nawet te wybrane przykłady pozwalają zorientować się w kierunku rozwoju nurtu wiejskiego w naszej literaturze: od pewnego osamotnienia i społecznej bojowości poprzez studia obyczajowe do mitologizacji i kpiarstwa. Kierunek ten zda się być nieunikniony, zwłaszcza, że w ostatnim dziesięcioleciu towarzyszyła mu coraz wyraźniejsza i coraz dokuczliwsza w gruncie rzeczy moda. Przybrała ona — moim zdaniem — rozmiary tak niepokojące, iż zaproponowałem likwidatorski sposób pisania o nurcie wiejskim (por. „Nadodrze" 1978 nr 1).

Z różnych powodów nie znalazł on realizacji w krytyczno-literackiej praktyce. Najpierw działało chyba jeszcze ciągłe przyzwyczajenie, następnie sprawy ważniejsze przysłoniły zainteresowanie literaturą. Zmalało więc i tradycyjne zainteresowanie nurtem wiejskim. Okazało się bowiem, iż przekazany w literaturze obraz wsi współczesnej nie jest aż tak dokładny i wnikliwy, jak to niejednokrotnie sugerowano. Przyjdzie chyba zweryfikować niektóre literackie (i nie tylko) stereotypy. Ale potrzeba do tego czasu. Póki co jednak książkę Stanisława Burkota potraktować można jako jeden z punktów wyjścia do postulowanej weryfikacji, tym bardziej, że pokazuje ona w końcowej części tak zwane kontynuacje pozorne. Zapewne z dzisiejszej czy jutrzejszej perspektywy pozorów tych znajdzie się więcej od wskazanych w „Marchołcie na Parnasie".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

S. Burkot, „Marchołt na Parnasie", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1980, s. 334, nakład 10 000 +330 egz., cena zł 53,—

FELIKS RAJCZAK

ŻNIWA

Podaj żniwny napój Ludzie zwiędli
Szukają cienia w mrowiskach mendli
Południe krzyżem zległo na spieczone pola
Słuchaj — południca na obiad słońce woła
Rżą rżyska idące do wodopoju zmierzchu o kroplę rosy
A młyny wiatru znad rzeki obłokom rwą powrozy
I pójdą snopy na żer — na żarnach mąka tryśnie
Na drabiniastym wozie żniwa jadą koliście

2

Idą do nas z upału Ścielą słomę przestrzeni
A my w cieniu leżymy winem rozleniwieni
Kosy światła jak skrzydła pszczół miodowo im brzęczą
Niosą wieńce którymi nasze czoła uwieńczą

MŁOCARNIE PRACUJĄCE W NOCY

W głębokie jamy powietrza
Wpuszczają stogi zboża
Dudni noc pracą młockarń
Raz po raz wybucha
Wór ziarna

Teraz jeszcze słyszę serce
Nocy polnej
I ludzi pracujących od zachodu
Do wschodu słońca
Jestem z nimi pochylony nad tym rękopisem

I ZNÓW SIĘ WYPOGODZI

I znów się wypogodzi —
pojedna zejdzie z sobą
dół z górą i mąż z żoną
po zabawie ludowej

I znów się wypogodzi —
przejdzie chmura gradowa
lewą stroną i wyjdzie
bokiem przebitej owcy

I znów się wypogodzi —
przełkniemy kroplę rtęci
i goryczy z ozonem
sami pośrodku drogi

I znów się wypogodzi —
szli będziemy przed siebie
w puste drzwi horyzontu
z głodu z mrozu wyjęci

29 października 1980

JULJUSZ JENCZELEWSKI

Panu Marianowi Piechalowi

☆ ☆ ☆

O Weroniko jaśmin cię objawił
i ty na mnie czekasz z liściem w czułej dłoni
aby obetrzeć od owocu straty
mnie pobladłego w kwitnącej jabłoni

Za progiem jesień brunatnie pielgrzymia
na oczach domu srebrne okulary
z babiego lata patrzą nikt nie wita
tylko ty jedna chusteczką się bawisz

— więc marłem w chuście twego zmiłowania
aż mym odbiciem twarz ci spochmurniała
lecz założyłaś bezkresną jak ziarno
mej twarzy maskę kołyskę twym kwiatom

Ja swe policzki odczepiłem z dłoni
i lżejszym będąc dotknąłem powietrza
ty ze mnie kwiatem opadłaś jabłoni
i tylko jesień została nam wierna

Druga nagroda (pierwszej nie przyznano) w Turnieju Jednego Wiersza o Laur Stanisława Czernika „Wiosna 81"

BARBARA NADGÓRSKA

U NABRZEŻA

Wielkiego tego domu wysokie pokoje
podwójne wąskie okna ze starego drzewa
dostępne słońcu w porze późnego zachodu
głęboko osadzone w murach
I nieskończenie długie ciemne korytarze
których końca trzeba się obawiać
Niekiedy nocą przebiegają po nich
wypłoszone z nieba łosie i jelenie
jak zwykle smutne i jak zwykle nieme
W taką noc ze wszystkich poroży i z głowy dzika
krew ścieka i pachnie krwią a potem nagle winem
Na nieskończenie długich ciemnych korytarzach
których końca trzeba się obawiać
kilku miłości zadeptane ślady
Wielkiego tego domu wysokie pokoje
stoją u nabrzeża moich myśli
gdziekolwiek żyję

Trzecia nagroda w Turnieju Jednego Wiersza o Laur Stanisława Czernika „Wiosna 81"

CUKIER

Włodzimierz Krzemiński

W końcu września 1944 roku znalazłem się w małym saksońskim miasteczku — Roitzsch, niedaleko od Halle. Było nas około setki.

Tuż przy stacji kolejowej stoi tam wielka, stara cukrownia. We wrześniu zaczynają tu zjeżdżać z całej okolicy wozy z liśćmi buraczanymi, potem z burakami, wreszcie wszystkie działy fabryki ruszają na pełnych obrotach, okolicę zasnuwa ogromny obłok mdlącej, słodkiej pary, dniem i nocą trwa nieprzerwany, potężny szum.

W tej porze i w tym szumie przeżyliśmy parę niezmiernie ciężkich miesięcy dopóki nie skończyła się kampania cukrownicza, po czym przeniesiono nas do innej komenderówki, na pracę wcale nie lżejszą, ale całkowicie odmienną: przy ścinaniu buków w samym środku zagubionego w śniegach Turyńskiego Lasu. Ale to już inna historia.

Nasz dom w Roitzsch to był jeden z dwóch baraczków, postawionych na terenie cukrowni, tuż obok hałdy węglowego pyłu, który gdzieś od spodu tlił się tygodniami i truł nas dodatkowo brudnym, cuchnącym czadem. W drugim baraku umieszczono Słowaków, którzy do wczoraj byli sprzymierzeńcami Niemców i wraz z nimi walczyli na froncie wschodnim. Tylko że właśnie w Słowacji wybuchło powstanie i sprzymierzeniec stał się niepewny: wojsko rozbrojono i powieziono do lagrów. Dla nas nie byli to dobrzy towarzysze. Bardzo nowi, pełni jeszcze frazeologii z tamtej strony frontu, a na to byliśmy nazbyt wyczuleni. Poza tym oni mieli świeżutkie mundury, solidne frontowe buty i wcale nie chcieli z nami gadać.

Baraczki plus latrynę otoczono nieodzownym drutem, niezależnie od tego, że cały rozległy teren cukrowni też był odrutowany i strzeżony. Zaczęła się praca na dwie zmiany: co dzień dwanaście godzin, z soboty na niedzielę — osiemnaście, potem również osiemnastogodzinny odpoczynek i na nowo — co noc dwanaście godzin pracy. Jako posiłek przynosiły nam Ukrainki kocioł zupy z brukwi i stawiały w kącie maszynowni. Można było czerpać do woli, tyle że zupa była zawsze zimna, a po paru godzinach kwaśniała. Na szczęście, gdy już cały proces produkcyjny był w biegu, można było garściami jeść gorący, żółty cukier. Wszyscy utyli, tylko spać chciało się nieustannie.

Pracowałem z Wojtkiem Przybytkowskim w kotłowni i była to praca trudna do zniesienia. Czternaście wiecznie głodnych pieców. Żar buchający w twarz i wiatr bijący śniegiem w plecy przez wybite okienka. Jeden raz tylko udało się napisać wiersz. Tej nocy cug był jakby lepszy, pył żarzył się równo, mogłem przysiąść na dwóch cegłach pod czarną od sadzy ścianą, z ogryzkiem ołówka i jakimś świstkiem papieru w ręku:

„Wtedy światem się całym zakłamię,
wtedy światu na przekór zostanę
i zrozumiesz, nieznana, ty też,
że pod jednym jedynym spojrzeniem
można spłonąć tak wielkim płomieniem,
jak te, w które rzucę ten wiersz...

Rzuciłem i tylko strzępy zostały w pamięci. W parę dni później oparzyłem sobie dłoń o rozgrzany żelazny pręt, którym rozrywaliśmy skorupę żużlu, zalewającego ruszta. Z obandażowaną przez wiele tygodni ręką ładowałem na wagony stukilowe wory z cukrem. To było lepsze od wielu innych prac, chociaż po zejściu ze zmiany ledwie byłem w stanie wciągnąć się na górną pryczę. Ale czasem, jak nie było wagonów, można było przysiąść na workach i podrzemać.

No i właśnie w takiej chwili zaczęła się moja pamiętna przygoda. Siedziałem oddalony od innych, w mrocznym kącie ładowni, gdy przyszła jakaś inspekcja — paru oficerów, paru cywilnych. Jeden z cywilów odszedł od zajętej rozmową grupy, macał coś po workach, wąchał, smakował, aż przechodząc koło mnie szepnął nagle, nie odwracając głowy: — *Ty, jak chcesz słuchać radio to pogadej z Mirko.*

Powiedziane to było prawie po polsku, a na pewno do mnie. Bardzo mnie to zaintrygowało, i trochę przestraszyło: może to prowokacja? Ale zacząłem szukać kontaktu z Mirkiem. Wiedzieliśmy, kto to jest: jeden z kilkunastu jeńców wojennych — Serbów, którzy mieszkali w miasteczku i stanowili przez cały rok stałą załogę cukrowni. Pracowali tylko na zewnątrz, sprzątali, przesypywali i polewali góry węglowego miału, naprawiali dachy i płoty. Czasem pokrzykiwaliśmy do siebie z daleka — „zdrowo, bratki! Z czasem spotykaliśmy się w łaźni, pod leniwie cieknącymi prysznicami. Ale na okazję można było długo czekać, a na frontach działo się co dzień coś nowego, alianci zachodni zajęli Belgię i Holandię, w komunikatach ze wschodu pełno było nazw polskich miast i rzek. Dostęp do radia zaspokajałby naszą napiętą, niecierpliwą ciekawość — tym przecież żyliśmy, to była jedyna licząca się sprawa.

Którejś nocy, czarnej jak atrament, bo zaciemnione okna nie przepuszczały znikąd ani promyka, przecisnąłem się przez druty za latrynę. Tam było najłatwiej, można było parę drutów odbić od ściany drewnianej budy i założyć je za sobą tylko na niby. Potem parę kroków biegiem do ogrodzenia cukrowni — strażnika nie było widać ani słychać, może tam gdzieś stał? Z mocno bijącym sercem wspiąłem się na jeszcze jedne druty, szarpiąc zaczepiający się płaszcz, kalecząc ręce i policzki. Gdyby nie strach i pośpiech, to by wcale nie było trudne. Ale zważcie: po pięciu i pół latach perwszy raz wychodziłem niestrzeżony, samowolnie, na świat po tamtej stronie drutów! Pierwszy raz biegłem ciemną pustą ulicą sam jeden, kryjąc się gdzie najgłębszy cień, pełen wątpliwości, czy trafię?

Trafiłem. Ktoś mi już przedtem opisał dom, w którym mieszkali Serbowie. Zajmowali jedną sporą izbę na parterze jakiegoś piętrowego budynku i byli znacznie mniej pilnowani, niż my. Zamykano ich wprawdzie na noc, ale Serbowie dawno już porobili wytrychy i wymykali się na romanse do Ukrainek, a pewnie i do niemieckich wojennych „rezerwistek" Zapukałem energicznie do drzwi.

Nie mieli żadnych prycz, stołków, szafek. Pod jedną i drugą ścianą rozrzucona na podłodze słoma, środkiem przejście, ściany obwieszone łachmanami, torbami, ganrkami. Kłębowisko ciał pod nogami, czarne od brudu karty ciskane z przekleństwem na koc, zawiesiste od tysiąca zapachów powietrze — tak wyglądała kwatera Serbów. W jednej chwili otoczyła mnie ciżba roześmianych, wąsatych, spoconych twarzy. Spękane od pracy ręce wciskały mi papierosy, margarynę, suchary. Mirko pociągnął mnie do swego kąta na słomę i poczęstował kawą — prawdziwą amerykańską neską. Rozmawialiśmy zwyczajnym obozowym esperanto — z niemiecka po słowiańsku, a po paru minutach Mirko nadział mi na głowę serbską furażerkę i pociągnął do drzwi. Jakiś specjalista zgiętym kawałkiem spłaszczonego drutu zwolnił zasuwę, wszyscy zebrani podnieśli dwa palce w geście „V" — zwycięstwo. Wyszliśmy we dwóch, drzwi zamknęły się bezszelestnie.

Serbowie żyli w Roitzsch od paru lat, wszyscy ich tu znali. Charakterystyczna rogata furażerka upodabniała moją sylwetkę w nocy do Serba, co zmiejszyło ryzyko podpadnięcia komuś przygodnie spotkanemu. Nie było daleko, ale część trasy biegła główną ulicą miasteczka. Gdy słyszało się kroki, stawaliśmy gdzieś pod drzewem lub w bramie. Potem kawałek w prawo wreszcie wysoki parkan i jednopiętrowy dom, a tuż przy domu w parkanie furtka. Zza zaciemnionych okien słychać zwyczajne ludzkie głosy, nawet płaczące dziecko. Mirko uchylił furtkę i weszliśmy w podwórze.

Było wysypane żwirkiem i ten żwirek trzeszczał pod nogami, aż się gorąco robiło. W głębi stał jeszcze jeden piętrowy budyneczek, zamknięty na głucho, z jednym ciemnym okienkiem w górze. Mirko rzucił kamykiem w to okienko, przywarliśmy do muru koło drzwi. Słyszałam, że ktoś schodzi po schodach, mój towarzysz uśmiechnął się i położył palec na ustach.

Ten ktoś długo manipulował koło zamka, zanim uchyliły się drzwi i weszliśmy do środka. Bez słowa, w zupełnej ciemności, trzymając się za ręce zaczęliśmy wspinać się w górę. I dopiero tam znaleźliśmy się w oświetlonej, mieszkalnej izdebce.

Gospodarzem był tu ów człowiek, który zagadał do mnie podczas inpekcji w ładowni. — *Bałeś się, co? Ni ma co. Mirko wie. Tak przychodź jak tera, ale jeden. Razem ni. A tera słuchajta. Ale. Jak przydziesz o przyniś cukier mit. Rozumisz ni?*

Nie wiem i nigdy nie wiedziałem, jak się nazywa. Mówił, że jest Czechem z Sudetów, jakimś takim Polako-Czecho-Niemcem, elektrykiem, który tu w sezonie pracuje jako konserwator urządzeń elektrycznych czy coś w tym rodzaju. Ta izdebka to jego sezonowa kwatera, a pod nią na dole jest magiel, czynny tylko do popołudnia. W nocy nikt tu nie przychodzi, bo nie ma po co. O mnie nie wiedział nic i o nic nie pytał.

Uszyłem z worka płaską torbę, którą przywiązywało się trokami na brzuchu, pod bieliznę. Mieściła chyba ze trzy kilo cukru. Z tym obciążeniem co parę dni wychodziłem przez jedne i drugie druty, biegłem chyłkiem przez puste ulice, przez trzeszczące podwórze; rzucałem kamykim w okno, Czecho-Polako-Niemiec schodził, wpuszczał do środka. Prawie że nie rozmawialiśmy ze sobą. Wysypałem cukier do miednicy — musiał tym handlować, bo dostawał ładnych parę kilo na tydzień, a nie byłem jedynym odwiedzającym izdebkę nad maglem. Bywał tam przecież Mirko, a raz spotkałem też jeńca Francuza, nie wiem skąd. Radio było malutkie, staroświeckie, ale bez większego trudu łapaliśmy Londyn. Po polsku, po niemiecku, po francusku. Bum bum bum... Dziś w godzinach rannych Niemcy opuścili... Dziś tysiąc bombowców dokonało nalotu. Dziś zatopiono na Atlantyku...

Gdy wracałem podnosiły się nad pryczami głowy. Jakże byłem ważny, jaki wyczekiwany, jak zachłannie słuchano każdego słowa! Te szeptane „gazety" były czymś tak istotnym, tyle dawały mi poczucia nareszcie jakiegoś prawdziwego działania, spełniania jakiejś bardzo ważnej roli — że nie myślałem wcale, jak wiele ryzykuję. Żyłem doprawdy od wyprawy do wyprawy, kradłem cukier, przeszywałem wypełnioną torbę jak pikowaną kołderkę, żeby zawartość nie zsunęła się i nie utrudniała pełzania, skakania, kucania. Czekałem co noc na sprzyjający moment nieuwagi strażników, a także — nieuwagi jeńców Słowaków, bo tych nie byliśmy pewni. Bum bum bum bum...

Raz nie zdążyłem rzucić kamykiem w okno, gdy usłyszałem wychodzące z magla, zapóźnione kobiety. Uciekać było za późno. Stałem w ciemności spocony z emocji, przywarty płasko do ściany, a one przeszły tuż obok, nieomal się o mnie nie ocierające. Nie mogłem odskoczyć także dlatego, że nie miałem pojęcia, co znajduję się dalej za maglem: może ślepy mur? Tam była zawsze czarna noc.

Raz zamiast mojego gospodarza powitał mnie przez zamknięte drzwi głos kobiety. Też za późno na ucieczkę, a nie miałem pojęcia kto to jest i co robić dalej. — „Bitte aufmachen!" — powiedziałem głupio. Przeraziła się na widok człowieka w nieznanym mundurze, chciała coś mówić, ale prędko wszedłem do wnętrza i zamknąłem drzwi. Słyszałem jak dyszy ze strachu. Gdy weszliśmy do oświetlonej izdebki, padła na łóżko półżywa, powtarzając przerażonym szeptem, po niemiecku: — „Kto pan jest? Niech pan stąd idzie! Co on sobie myśli, co ten wariat robi, oni nas wszystkich powieszą, ciebie też powieszą, idź stąd ty głupi Polaku, idź!.

Wysypałem cukier — taka pełna miednica, to było coś warte! Po chwili przyszedł z miasta gospodarz. To była jego żona, która nieoczekiwanie przyjechała w odwiedziny. — „Oni nas wszystkich powieszą, ty stary głupi wariacie, co wy tu wszyscy robicie? Jak ten człowiek stąd wyjdzie?

Wyszedłem obdarowany dodatkowo plackiem domowej roboty. A że zbliżało się Boże Narodzenie, idąc na następną wyprawę wziąłem oprócz cukru jeszcze paczkę amerykańskich rodzynek, w prezencie dla elektryka. I właśnie wtedy, gdzieś w połowie drogi oświetlił mnie latarką żandarm, patrolujący ulicę. Stanąłem jak sparaliżowany.

— *„Aha! Komm, komm!"* — zawołał, zdejmując z ramienia karabin. Obmacał mnie pobieżnie i kazał iść ze sobą. Myślę, że w ciągu paru sekund przewaliło mi się przez głowę tysiąc pomysłów, ale żaden z nich nie okrzepł w jakąś decyzję. Co robić? Co mówić? Szedłem obok żandarma ulicą, której nigdy nie widziałem. Szliśmy z piętnaście minut, zanim wreszcie zapytał, kim jestem i dokąd szedłem. — *Pole? Ach, soo... Zuckerfabrik? Sooo...* A szedłem do Ukrainki — *sie wissen doch... Te dziewczyny przy łaźni...*

— *Nawet niosłem dla niej rodzynki als Geschenk*, ale — odważyłem się nagle — *może one przydadzą się panu na Święta? Pradziwe, amerykańskie rodzynki!*

Schował je do chlebaka i szliśmy w milczeniu dalej, aż ulica stała się zwyczajną ośnieżoną drogą z wysokim parkanem z jednej strony. Znałem ten parkan — to było ogrodzenie naszej cukrowni, tylko od strony przeciwnej, gdzie jeńcy nigdy się nie zapuszczali. Żandarm przystanął nagle w pozycji jak do strzału i przez ściśnięte zęby, pokazując oczami parkan, powiedział: — *„Mach sofort, dass du weg bist!"* Znikaj szybko...

W tym momencie byłem przekonany, że jak uczynię dwa kroki, to mi wygarnie w plecy. Nie próbowałem żadnych uników. Chwyciłem gołymi rękami za druty, podciągnąłem nogi, pewny że zaraz na tych drutach zawisnę. Jeszcze jeden chwyt. Jeszcze przerzut nóg na drugą stronę i ciężkie grzmotnięcie całym ciałem o ziemię. Żandarm odchodzi, gwiżdżąc.

Pędziłem na złamanie karku przed siebie, pomiędzy hałdy węgla, stosy jakiegoś żelastwa — wreszcie znajoma sylwetka dźwigu zorientowała mnie co do właściwego kierunku.

Tyle chciałem opowiedzieć o jednym z moich najmocniejszych jenieckich przeżyć. Dwadzieścia lat później znalazłem się znowu w Roitzsch. Brałem wtedy udział w kongresie pisarzy niemieckich w Halle. Opuściłem jeden dzień obrad, chciałem zobaczyć tamte miejsca. Był znów listopad, mroczny, zadeszczony dzień późnej jesieni. Na znajomej stacyjce nikt oprócz mnie nie wysiadł. Wszedłem w ten sam jednostajny szum, w tę samą słodką, gęstą, ciepłą parę: kampania cukrowa trwała. Okrążyłem teren cukrowni. Nie było wagonów przed ładownią, robotnicy pewnie siedzieli tam w środku i drzemali. Zobaczyłem siebie z bandażem na lewej ręce, w żołnierskim szynelu, w serbskiej stalowo-szarej furażerce z podniesionymi rożkami.

W izbie, gdzie mieszkali Serbowie, mieści się urząd pocztowy. Dom, przy którym w podwórzu stał budyneczek z maglem, stoi nadal, to jest teraz Wilhelm Pieck-trasse 15. Tyle że podwórze wyasfaltowano i już przeklęty żwir nie trzeszczy pod nogami.

A z tyłu za maglem, widzianym po raz pierwszy w pełnym świetle dnia, ciągną się po prostu ogródki działkowe, gdzie można było uciekać. Nie ma tylko dwóch bardzo nędznych baraczków obok hałdy węgla, w lewo od suszarni buraczanych liści.

Poniżej publikujemy czwarty już odcinek „Historii Polski od 11 listopada 1918 roku do 17 września 1939" — Stanisława Cata-Mackiewicza. Książka ta nie jest znana bliżej polskiemu czytelnikowi. Jedyne jej krajowe wydanie — powielaczowy reprint Instytutu Spraw Międzynarodowych z 1958 roku — miało ograniczony zasięg.

Z „„Historii Polski" przedrukowujemy trzecią jej część pt. „Wieczór".

Część ta — obejmująca okres od śmierci Piłsudskiego do wybuchu wojny — napisana jest, jak i cała książka, typową dla Mackiewicza techniką, bardzo osobistą, wręcz emocjonalną. Cat operuje tu błyskotliwymi skrótami i zaskakującą metaforą, gęsto okrasza swój wywód anegdotą. Z równą przesadą pisze on dobrze o przyjaciołach, co źle — o wrogach. Swoich osobistych. I takie też właśnie — arcyindywidualne — są jego oceny.

Oceny, których trafność niekiedy zadziwia kiedy znów indziej — wzbudza ogromny sprzeciw.

Aby podjąć z nim polemikę, skomentować go, trzeba by równie wiele papieru na ten cel poświęcić. Dlatego też przyjmijmy jego tekst, jakim jest. Tak zresztą jak przyjmowaliśmy Mackiewicza za jego życia — z całym dobrodziejstwem jego pisarskiego i politycznego inwentarza.

STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ

(4)

WIECZÓR

IX. CZECHY, ANSCHLUSS, LITWA, MONACHIUM

Naród polski jest narodem wyjątkowo patriotycznym. Ten kto umie poruszać struny naszego patriotyzmu, może wygrywać melodie zupełnie dowolne. Silne było w Polsce patriotyczne współczucie okazywane rodakom pozostającym poza granicami. Rzeczypospolitej. Najwięcej takich rodaków było oczywiście w Rosji sowieckiej — tutaj należało ich liczyć na dobre kilka milionów ludności świadomej, arcypolskiej i patriotycznej.

Stosunkowo najwięcej praw mieli Polacy w państwie czechosłowackim, ale i tu ulegali pewnym szykanom i zakusom wynarodowienia.

Taki był stan mniejszości polskich poza granicami państwa w ujęciu obiektywnym. Otwierało to wszelkie możliwości gry. Prawem bowiem i regułą obowiązującą bezwzględnie w stosunkach polskich było, że nie wolno pod karą śmierci cywilnej przeciwstawiać się komuś, kto zabrał głos, aby się poskarżyć na prześladowanie Polaków za granicą. Można było natomiast intensyfikować współczucie z mniejszością polską cierpiącą w jednym kraju, nie poruszając jednocześnie analogicznego losu mniejszości polskiej cierpiącej w kraju sąsiednim. Można było, powiedzmy sobie, alarmować społeczeństwo polskie losem Polaków na Litwie kowieńskiej, gdzie nasi rodacy cierpieli istotnie dotkliwe prześladowania, i jednocześnie mizdrzyć się do Łotwy, chociaż na Łotwie Polacy cierpieli prześladowania nie mniejsze, a raczej na pewno gorsze od prześladowań na Litwie kowieńskiej.

Beck wygrał znakomicie tę cechę naszej opinii publicznej, poruszył strunę patriotyzmu polskiego współczującego z rodakami za kordonem, upominając się o los Polaków w państwie czechosłowackim. Na mocy prawa patriotyzmu Polaków, o którym wspomniałem wyżej, zawtórowała mu cała bez wyjątku prasa polska. Najwięksi frankofile i czechofile szli tu na rękę polityce Becka, który koordynował swoje alarmy o położeniu Polaków w Cieszyńskiem, z antyczeską polityką Hitlera. Dlaczego to czynił?

Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Jeździłem wtedy do Pragi, Cieszyna i Morawskiej Ostrawy, by się dowiedzieć i dowiedzieć się nie mogłem.

Nasz spór z Czechami o ziemię cieszyńską zaczyna się jeszcze na kongresie wersalskim. Toczy go wtedy Dmowski z Beneszem i przegrywa, albowiem do załatwienia tej sprawy przystąpiono w chwili dla Polski najcięższej, za czasów inwazji bolszewickiej.

Czesi nie prowadzili przychylnej dla nas polityki. Izolowali nas od Małej Ententy, przeciwstawiali się nam w Budapeszcie i Rzymie, starali się być ogniwem łączącym politykę francuską z Sowietami, Protegowali, subsydiowali ruchy separatystyczne, rozsadzające Polskę. Czesi są narodem słowiańskim otoczonym przez morze germańskie. Toteż swą przyszłość polityczną najłatwiej sobie układali w związku ze słowiańską Rosją. Widzieli swój naród jako głowę olbrzymiego rosyjskiego tułowia.

Wszystko to nie upoważniało jednak Becka do rozwalania Czechosłowacji na spółkę z Niemcami. Uczuciem pomsty nie można się kierować w polityce zagranicznej. Czechosłowacja była forpocztą, fortecą Francji w Europie środkowej — aby ją niszczyć, trzeba było być pewnym, że nigdy, przenigdy Farncja nie będzie nam potrzebna jako sojuszniczka.

Czy Beck tę pewność miał, czy mógł ją mieć? — bynajmniej.

Przypisują Beckowi dużą pozycję w historii Europy. Do roku 1937 Hitler chce wyprawy na Rosję z Polską jako sojusznikiem, z pozyskaniem dla projektu takiej wyprawy życzliwej neutralności Francji i Anglii. Otóż Beck tej wyprawy nie chce, myśli o niej odrzuca, i nie tylko nie stara się rząd francuski i angielski do tej myśli pozyskać, lecz przeciwnie, cieszy się z tego, że stosunki francusko-niemieckie są coraz gorsze. Beck nie tylko nie dąży do porozumienia polsko-niemiecko-francusko-angielskiego, które by umożliwiło zwrócenie dynamizmu Hitlera przeciw bolszewikom, ale czasami robi wrażenie, jak gdyby dążył do porozumienia niemiecko-polsko-rosyjskiego, myśli wprost absurdalnej, bo każde porozumienie niemiecko-rosyjskie, to zguba dla Polski.

Beck więc w znacznej mierze przyczynił się do tego, że Hitler poniechał pierwotnej swej myśli uderzenia na Rosję i że postanowił wpierw uderzyć na Zachód.

Zwrot polityki Hitlera z polityki wojny przeciw Rosji na politykę wojny z Zachodem, to Anschluss.

Myślano powszechnie, że konsekwencją Anschlussu będzie antagonizm włosko-niemiecki. Byłoby tak, gdyby Anschluss był połączony z myślą o wojnie z Rosją, z odprężeniem stosunków francusko-niemieckich. Jeszcze dnia 20 lutego 1938 roku Włochy na Anschluss się nie zgadzają, i Hitler, który miał go zapowiedzieć w swej mowie przed Reichstagiem, cofnął się w ostatniej chwili — ale widać po tej dacie, że w ciągu dwudziestu dni potrafił obiecać Mussoliniemu wspólny program antyfrancuski i dnia 12 marca 1938 roku wojska niemieckie wkroczyły do Wiednia, nie wywołując protestów włoskich.

Już więc Anschluss jest posunięciem antyfrancuskim, już Anschluss dochodzi do skutku jako zapowiedź nowego kursu polityki niemieckiej.

„Słowo" wileńskie było dotychczas zwolennikiem pacyfikacji stosunków polsko-niemieckich. Była to nawet główna, zasadnicza myśl, szerzona w dziedzinie polityki zagranicznej przez nasz organ i wyznajmy, że główna przyczyna naszej niepopularności. Otóż od Anschlussu „Słowo" staje się popularne, ponieważ zaczynamy przestrzegać Becka, że stosunki niemiecko-polskie zaczynają przynosić jednostronne korzyści wyłącznie Niemcom, że Niemcy się wzmacniają, a my nie, że narusza to stosunek sił pomiędzy Niemcami a Polską jednostronnie na korzyść Niemiec.

Beck, całkiem odwrotnie od naszych zapatrywań, najbardziej proniemiecki kurs swojej polityki ujawnia właśnie w okresie od Anschlussu do Monachium, czyli w okresie, kiedy Hitler swej myśli o wyprawie na Rosję już był zaniechał, kiedy obraca się frontem na zachód.

Wprawdzie za Anschluss otrzymuje Beck coś w rodzaju rekompensaty. Gdyby żył Bismarck, może by miał okazję do powtórzenia swego frazesu o polityce napiwków Ale to nie był nawet napiwek, była to wprost komedia urządzona dla ciemnego w zagadnieniach polityki zagranicznej społeczeństwa polskiego. Oto zaraz po Anschlussie Beck wysyła ultimatum do Litwy kowieńskiej, żądając nawiązania z nami stosunków dyplomatycznych. Rydz — dla którego w znacznej części komedia ta była urządzona, wysłuchuje w Warszawie okrzyków: „Wodzu, prowadź nas na Kowno", przyjeżdża do Wilna, wychodzi na balkon, kłania się publiczności: pewna ilość batalionów i szwadronów wyszła z koszar wileńskich i pomaszerowała w kierunku granicy kowieńskiej. Litwini ultimatum przyjęli i ogłoszono wielki triumf Rydza i Becka. W istocie była to komedia — Litwini zgadzali się już wtedy w rokowaniach poufnych na porozumienie z Polską i gest z ultimatum, drażniący, upokarzający i najgorzej usposabiający Litwinów, był zupełnie niepotrzebny.

Od dnia 12 marca 1938 roku, tj. od Anschlussu, do dnia 29 września 1938 roku, tj. do Monachium. Beck wciąż nie ma ani jednej spornej między nami a Niemcami sprawy ostatecznie załatwionej, zlikwidowanej. Wszystko to jest w stanie prowizorium, są to tylko plastry przyklejone na rany, nie przestające się jątrzyć pod tymi plastrami. I w takim stanie rzeczy Beck, wiedząc że Niemcy zaniechały swych planów wyprawy na Rosję, że gotują się do stanięcia fronem ku Zachodowi — Beck rzuca się głową naprzód w popieranie polityki niemieckiej.

Hitler na wiosnę 1938 roku wszczyna sprawę Sudetów, kraju istotnie częściowo zniemczonego, należącego do Czech. Żądania jego rosną, we wrześniu Europa znajduje się na krawędzi wojny. Aby ocalić pokój, Neville Chamberlain trzykrotnie przylatuje do Hitlera, Chamberlain ma wielkie poczucie odpowiedzialności, wie, że Anglia nie jest gotowa do wojny, chce więc ocalić pokój. Francja mobilizuje, ale odzywają się wśród Francuzów głosy przeciwne wojnie „za Czechów". Francja jest również źle uzbrojona, jedyne dwa kraje, które są wtedy dobrze uzbrojone, to Niemcy i... Czesi. Ale właśnie po arsenał czeski sięgają ręce Hitlera.

Sytuacja polski w Europie zwyżkowała po pakcie 26 stycznia 1934 roku, ale później zaczęła spadać, a to ze względu, że Niemcy się uzbroiły, a Polska pozostała ze swoją armią, która była dobra, lecz pod względem technicznym zasługiwała na miano dobrej armii przedwojennej. Otóż teraz Polska znów nabiera chwilowo wielkiego znaczenia. I Beck rzuca to nasze znaczenie na szalę wpływów niemieckich. Rozbiór Czechosłowacji następuje w układzie podpisanym w Monachium dnia 29 września 1938 roku przez Chamberlaina, Daladie'a, Hitlera i Mussoliniego. Polska zajmuje Cieszyn i Bogumin, biorąc w ten sposób udział w tym rozbiorze.

Beck i — co śmieszniejsze — także Rydz, znów żądają od narodu polskiego uznania ich triumfu, ale to już im się nie udaje. Pomimo całego rozczulenia z oswobodzenia rodaków zza Olzy, Polacy rozumieją, że nabycie tego skrawka terytorium nie jest wyrównaniem straty, którą ponieśliśmy w tej grze przez umocnienie się Niemiec.

Beck, a raczej beckowcy, tłumaczyli potem, że polityka Becka w czasie rozbioru Czechosłowacji powodowana była przekonaniem, że Europa nie ruszy w jej obronie. Beck chciał umyślnie dać Europie lekcję czeską, umyślnie skierował jakoby Htlera na Czechosłowację, by Polska przyszła w drugiej kolejce i by Europa już Polsce pomogła, „i to mu się udało" — wołają beckowcy. Całe to rozumowanie jest z gruntu śmieszne. Przede wszystkim, pomimo, że Czechy poszły w „pierwszą kolejkę", ich los jest dzisiaj znacznie lepszy, niż los Polski, tak pięknie wykierowanej przez Becka. Po drugie, gdyby istotnie Beck swoją politykę w Monachium prowadził z myślą o przyszłej wojnie Polski z Niemcami, nigdy by chyba nie sięgał po Cieszyn. Cała więc ta obrona Becka nie wytrzymuje krytyki i jest ex post niedołężnie dorobiona.

Oddając Niemcom tak duże usługi, jak w chwili Monachium, Beck powinien był upewnić się, że od nas nic nie zażądają. Ale Beck w chwili układów monachijskich nie ma żadnych układów z Niemcami, nic mu prócz Cieszyna nie obiecano, a jednak postępuje tak, jak postępował żyrowany przez Mościckiego, Rydza i nieszczęsnego Sławoja.

Skutki nie dały na siebie długo czekać. Już dnia 24 października Ribbentrop żąda od Lipskiego, naszego ambasadora w Berlinie, Gdańska i autostrady przez Pomorze. Ale zgłasza nie tylko to żądanie, zdąża najwyraźniej także ku zapewnieniu sobie przez Polskę neutralności w fazie wojny Niemiec z Francją i Anglią. Beck odrzuca to żądanie, ale trzeba było przedtem przemyśleć swoje postępowanie i nie zakładać swej polityki na absurdzie stałego pokoju pomiędzy Niemcami, Polską a Rosją i absurdzie takiegoż pokoju pomiędzy Niemcami a Francją. Przecież Hitler musiał na kogoś napaść, jeśli nie wpierw na Rosję, to wpierw na Francją i na nas.

X. LUDZIE NIEDOROŚLI DO RZĄDZENIA

Nigdy nie czułem tak wyraźnie, że Polską rządzą ludzie niedorośli do rządzenia, jak z okazji sprawy cerkwi prawosławnej. Obywateli tego wyznania liczyła Polska przeszło trzy miliony. Popi i archireje byli to ludzie całkowicie zawieszeni w powietrzu. Rosji bolszewickiej obawiali się najwięcej, emigracja rosyjska, do której lgnęły może i serca, nic im dać nie mogła; owczarnię mieli białoruską lub ukraińską, a ponieważ sami czuli się Moskalami, Rosjanami, więc nawet i ta owczarnia nie dawała im dostatecznego politycznego oparcia. Ich jedynym oparciem była Polska, która ich broniła przed bolszewizmem. Toteż nie było ludzi bardziej wobec Polski lojalnych od duchowieństwa prawosławnego. Myśl „polskiego prawosławia" robiła wśród nich postępy, tylko, że jak każda reforma, przeprowadzana w drażliwej i delikatnej dziedzinie asymilacji, wymagała dłuższego czasu. Człowiek, który w dziedzinie asymilacji jednego narodu przez naród inny żąda rezultatów prędkich, doraźnych, jest jak głupie dziecko, które wyrywa małe kwiatki z korzeniami, aby zobaczyć dlaczego prędzej nie rosną.

Tacy byli właśnie nasi władcy. Lojalność cerkwi prawosławnej była tak duża i tak szczera, że tylko cud mógł duchowieństwo prawosławne z tej drogi zawrócić. Tym cudem była głupota naszych władców, istotnie niepospolita. Należy tu zaznaczyć, że polityką cerkiewną, nie wiadomo dlaczego, zaczęło kierować ministerstwo spraw wojskowych, minister Kasprzycki, który się interesował wszystkim: osuszaniem Polesia, kilimami huculskimi — wszystkim, prócz spraw obrony państwa. Zaczęto od polonizacji cerkiewnego języka liturgicznego. Zamiast „Hospodi Pomiłuj", miano w nabożeństwie mówić „Zlituj się Boże". „Nie mogę się zgodzić, aby żołnierz polski mógł słuchać innego nabożeństwa prócz polskiego" — powiedział wojewoda, płk Bociański, delegacji prawosławnych, którzy przyszli do niego z protestem przeciwko polszczeniu sakralnego języka nabożeństwa. — Trzeba było zapytać tego bałwana — powiedziałem tej delegacji, gdy się przede mną przyszła wyżalić — czy uważa Piłsudskiego za żołnierza polskiego, bo Piłsudski jako katolik, nigdy nie słuchał nabożeństwa po polsku, tylko zawsze po łacinie". Istotnie żadne wyznanie w Polsce, prócz nie uznanych przez państwo hodurowców i innych sekt, nie słuchało nabożeństwa w języku narodowym: katolicy odprawiali je po łacinie, Żydzi po hebrajsku, Tatarzy po arabsku, a wreszcie — co w tej sprawie było najważniejsze — katolicy grecko-unickiego obrządku w tymże cerkiewno-słowiańskim języku, który z cerkwi prawosławnej miał być usunięty, bo tak się raptem kilku dorosłym dzieciom zachciało. Wystąpiłem wtedy namiętnie w obronie liturgiki prawosławnej i myślę, że właśnie jako katolika mogło mnie oburzyć to wtrącanie się do czyjegoś nabożeństwa. Składkowicz mi za to, już wtedy po raz drugi, zagroził Berezą, a inne sfery zemściły się puszczeniem w obieg oszczerczej plotki, że przeszedłem na prawosławie.

Ale — pisać o tym ciężko — na zmianie liturgiki nie poprzestano, wojsko zaczęło przymusowo nawracać prawosławnych na katolicyzm i nawet palić niektóre cerkwie prawosławne, uznane za zbędne. Te dzikie, głupie i nikczemne wybryki wyrządziły niesłychaną szkodę naszemu państwu, a były przecież absolutnie niczym nie uzasadnione, ponieważ — jak powiedziałem — ze wszystkich mniejszości narodowych właśnie koła duchowieństwa prawosławnego były najlojalniejsze. Muszę tu podkreślić, że duchowieństwo katolickie stało z dala od tej obłąkanej akcji, i nawet położenie jej kresu zawdzięczamy interwencji sfer katolickich.

Drugą ciężką sprawą była pokryjomu sprzedaż broni polskiej rządowi lewicowej Hiszpanii. Sprzedano jej podobno na kwotę setek milionów złotych. Oficjalna polityka polska sympatyzowała otwarcie z gen. Franco, a społeczeństwo polskie w olbrzymiej swej większości stało po stronie hiszpańskiego ruchu narodowego. Pod tym względem jednolita była opinia Stronnictwa Narodowego, „Ozonu", konserwatystów, ONR, a także znakomitej większości włościan polskich. Tylko skrajne frankofilskie grupy z Frontu Morges były cokolwiek innego zdania, ale także nie lubiły zbyt ostentacyjnie tego podkreślać. Jawnymi zwolennikami czerwonej Hiszpanii byli u nas tylko socjaliści i pewne koła żydowskie. I oto ten sam rząd, sympatyzujący z gen. Franco, zaczyna sprzedawać broń czerwonej Hiszpanii za pośrednictwem międzynarodowego agenta tego typu transakcji, niejakiego Czarneckiego. Pewne rewelacje w książce Krzywickiego, b. agenta Stalina, załatwiającego niektóre interesy związane z pomocą dla czerwonej Hiszpanii, wskazywałyby, że sprawa ta miała podłoże łapówkowe. Po sprzedaży starej broni zaczęto sprzedawać nową broń.

W dziedzinie motoryzacji sam miałem przygodę patetyczną. Oto, począwszy już od 1935 roku, pisywałem stale artykuły o konieczności motoryzacji, wskazywałem, że przyszła wojna będzie wojną kawaleryjską z motorami zamiast koni, wołałem o przygotowanie naszego przemysłu spirytusowego do potrzeb motoryzacji, itd., itd. Byłem zwolennikiem zwiększania taboru samochodowego i skierowywania na razie własnej produkcji samochodowej wyłącznie na potrzeby armii. W jednym z artykułów, pisanym w czasie wojny etiopskiej, użyłem wyrażenia, że polskie cła na samochody mają taki sam sens, jaki miałoby rozporządzenie negusa abisyńskiego, wprowadzające cło na karabiny, ponieważ Addis Abeba nie ma fabryki karabinów abisyńskich. W odpowiedzi na to, w trzech pismach warszawskich, w „Warszawskim Dzienniku Narodowym", w „Przeglądzie Wieczornym" i w organie ministerstwa spraw wojskowych „Polsce Zbrojnej" ukazały się artykuły używające tego samego frazesu: „Pan Mackiewicz porównywa Polskę do Abisynii" — był to zawsze, niestety, u nas popłatny argument hurrapatriotyczny, a jakże płytki w tej dyskusji.

W jakieś dwa lata później przedstawiono mi w Warszawie nowego akwizytora ogłoszeń do naszej gazety, p. K. Ten p. K. powiedział mi przy poznaniu:

— *Ale ja kiedyś dużo na panu zarobiłem.*

— *Jak to* — zarobił pan?

— *Pan coś pisał o motoryzacji?*

— *Cóż z tego?*

— *To ja właśnie umieszczałem artykuły w gazetach warszawskich przeciwko panu z ramienia jednej z firm.*

Jest to, jak powiedziałem, anegdota patetyczna. Ja, prosty obywatel, zajmuję się sprawami obrony kraju, a organ ministerstwa spraw wojskowych zamieszcza płatne, podkreślam — płatne artykuły, przesądzające tak ważną dla zagadnień naszej obrony narodowej sporną kwestię wyłącznie z punktu widzenia handlowego jakiejś prywatnej firmy przemysłowej.

W ogóle w kwestii motoryzacji, umowy z „Fiatem" itd. działy się u nas jakieś rzeczy niezupełnie wyraźne. Inż. Śmigielski rozsyłał dokumenty rewelacyjne, żądając wytoczenia mu procesu o oszczerstwo, ale procesu nie wytaczano i stosunków tych nie naprawiono.

Kiedy powołując się na zwiększenie sił niemieckich po Anschlussie wołałem o powiększenie naszego budżetu wojskowego przynajmniej o kwotę odpowiadającą wydatkom na trzy dywizje, byłem gromiony przez organ prasowy ministerstwa spraw wojskowych, a p. Miedziński w „Gazecie Polskiej" karcił mnie, twierdząc, że moje wystąpienia są niezgodne z konstytucją, w czym nb. absolutnie nie miał racji.

Stosunki w Polsce wymagały poprawy. Niektórzy ludzie zdobywali się na czyny rozpaczliwe w rodzaju zbrojnego opanowania przez partię Adama Doboszyńskiego powiatowego miasta Myślenic. Inż. Doboszyński, krytyk i znawca Chestertona, człowiek o dużej kulturze umysłowej i literackiej, miał widać „duszę dowódcy", skoro potrafił w czerwcu 1936 roku skierować duży oddział złożony z chłopów na miasteczko Myślenice, rozbroić posterunki policyjne, opanować dom starosty, któremu chciano „przetrzepać skórę". Potem oddział Doboszyńskiego stoczył w górach walki z policją, sam Doboszyński przeszedł granicę czeską, ale powrócił i ranny dostał się w ręce policji. Sąd przysięgłych raz go uniewinnił, drugi raz prawie uniewinnił. W tych werdyktach ławy przysięgłych odzwierciedlił się stosunek społeczeństwa do rządu, który zbrojny bunt przeciwko rządowi uznał za czyn spowodowany „wyższą koniecznością". Odpowiedzią ze strony rządu było zniesienie instytucji sądów przysięgłych, tam, gdzie one istniały, tj. w zaborze austriackim.

Inną formą rewolucyjnej reakcji na rządy niedołężne były tzw. strajki chłopskie. Włościanie, ulegający wpływom Stronnictwa Ludowego, powstrzymywali dowóz żywności do miast. Posterunki Stronnictwa Ludowego zatrzymywały na drodze wozy jadące z żywnością i nakazywały powrót do domu. Wynikały stąd zwady, bójki, nawet morderstwa. Był to ruch rewolucyjny, nie mógł się odbić nie tylko na rządzie, ale i na całym państwie i na niewinnej ludności miejskiej. Toteż Stronnictwo Narodowe było jawnie przeciwne takiej formie zwalczania rządu, a i ludowcy w Poznańskiem wzięli mniejszy udział w tym ruchu. Najsilniej strajk wystąpił w Krakowskiem, gdzie kierownikiem Stronnictwa Ludowego był prof. Kot, który też został aresztowany, pomimo okazania świadectwa lekarskiego.

Specjalny charakter miała sprawa prof. Stanisława Cywińskiego, którą zajął się Front Morges. Cywiński był to typ ideowca, czystego jak kryształ. Był nauczycielem języka polskiego jeszcze za czasów zaboru rosyjskiego, za czasów okupacji niemieckiej prowadził iście bohaterską, heroiczną, wspaniałą pracę w szkolnictwie polskim. Wtedy był piłsudczykiem, ale za czasów niepodległości zmienił przekonania, a od zamachu majowego zaczął nienawidzieć Piłsudskiego. Był to człowiek nerwowo wyczerpany i słabego zdrowia, przeszło pięćdziesięcioletni, ale wyglądający starzej. Melchior Wańkowicz w jednej ze swoich książek wspomniał na str. 22, że Piłsudski powiedział kiedyś, iż Polska jest jako obwarzanek, wszystko, co jest na około, jest coś warte, a środek najmniej. Traf zdarzył, że prof. Cywiński, pisujący w narodowym „Dzienniku Wileńskim", plemizował ze mną na podobny temat. Czytając więc książkę Wańkowicza, zanotował sobie na kartce osobnej: „Stronica 22", wyraz „obwarzanek", i dopisał obok mój pseudonim dziennikarski „Cat" — przynajmniej tak zeznawał w sądzie. I potem napisał w artykule sprawozdawczym o książce Wańkowicza, że „Polska nie jest jak obwarzanek, jak to mawiał pewien kabotyn" i przy tym zdaniu jeszcze dodał w nawiasie: „Stronica 22". Pozory więc były silne, że miał na myśli Piłsudskiego, chociaż go nie wymienił — ja gotów jestem raczej tłumaczeniu się prof. Cywińskiego uwierzyć, albowiem był to człowiek niezdolny do kłamstwa. Jeśli skłamał w sądzie, to na pewno pierwszy raz w życiu. Na artykuł Cywińskiego z wyrazem „kabotyn", nikt pierwotnie nie zwrócił uwagi, ale dopiero naprawiacki „Naród i Państwo" wystąpił z denuncjatorskim artykułem, twierdząc, że Cywiński obraził zmarłego Marszałka wyrazem „kabotyn". Wtedy gen. Dąb-Biernacki, zamieszkujący jako inspektor armii w Wilnie, nakazał oficerom pobicie Cywińskiego i redakcji „Dziennika Wileńskiego". Oficerowie przyszli do mieszkania prof. Cywińskiego i pobili go nieludzko w oczach żony i małej córeczki, potem udali się do redakcji „Dziennika Wileńskiego", gdzie pobili równie zacnego człowieka, redaktora Aleksandra Zwierzyńskiego, b. wicemarszałka sejmu i część personelu redakcyjnego. Władze cywilne zjawiły się, podziękowały oficerom i aresztowały Cywińskiego i redaktorów Zwierzyńskiego i Federowicza.

Jakkolwiek byłem piłsudczykiem i prócz tego oświadczenie Cywińskiego, że nazwał mnie kabotynem nie mogło mi być przyjemne, jak najgoręcej wystąpiłem w jego obronie, pamiętając o pięknym i bohaterskim przebiegu jego życia. Sprawa ta odbiła się głośnym echem. Młodzież uniwersytecka w Wilnie urządziła demonstracje uliczne, wołając „Precz z bandytami w mundurach oficerskich!". Aresztowano wtedy adwokata Kownackiego oraz studentów Świerzewskiego i Łochtina — wszyscy trzej należeli do Stronnictwa Narodowego — odesłano do Berezy, w której przebywali miesiąc.

Broniło przed sądem Cywińskiego kilkunastu adwokatów z mecenasem Szurlejem i prof. Glaserem, sympatykami Frontu Morges, na czele. Skazany został w pierwszej instancji na trzy lata za znieważenie Piłsudskiego.

Jakkolwiek rząd nie umiał rozwiązać zagadnień naprawdę związanych z kwestią wojska i obrony państwa, jak motoryzacja, dozbrojenie, lotnictwo, powiększenie budżetu wojennego, to jednak uważał, że dla celów obronności kraju należy rozwiązać sejm Sławka. Car umarł w maju 1938 roku i laskę marszałkowską otrzymał Sławek, pomimo opozycji Miedzińskiego i „naprawiaczy", którzy głosowali na swego Nowaka. Wobec tego sejm i senat został rozwiązany dnia 13 września 1938 roku, a w wyborach do nowego sejmu utrąceni wszyscy dawni przyjaciele Sławka, utrącony on sam. Nie wstydzono się przeciwko Sławkowi, przyjacielowi największemu zmarłego Marszałka, wysunąć jakiegoś obskurnego adwokata. Stronnictwa opozycyjne ponownie bojkotowały wybory, jedynie pewna część ludzi ONR zdobyła kilka mandatów, między innymi Stanisław Jóźwiak z Poznania.

W Wilnie wybrany został gen. Żeligowski, który od chwili, gdy wygłosił uwagę starego żołnierza, że nie można stać równocześnie na czele armii i zajmować się polityką i powiedział: „Albo polityk, albo wódz", uważany był za wroga „Naczelnego Wodza". Ale w Wilnie Żeligowski był prawdziwie popularny, toteż obiór jego nastąpił ogromną większością głosów. Jeśli drugi mandat z Wilna otrzymał szef „Ozonu", gen Skwarczyński, stało się to tylko dlatego, iż wojewoda wileński obiecał Żydom, że ich kandydat, rabin Rubinstein, będzie mianowany przez prezydenta senatorem. Pakt został dotrzymany z obu stron: Żydzi wileńscy głosowali powszechnie na Skwarczyńskiego, a Mościcki mianował rabina Rubinsteina senatorem.

Nowy sejm składał się z wyjątkiem kilku osób i mniejszości narodowych z samych ozonowców. Senlorem sejmu z wieku był gen. Żeligowski, ale wbrew zwyczajowi na marszałka otwierającego sejm powołany był przez prezydenta jego wileński konkurent, gen. Skwarczyński.

Był to już ostatni sejm odrodzonej Rzeczypospolitej.

(c.d.n.)

LEWYM OKIEM

W „Odgłosach" z 6 września br. napisał Widok z właściwą sobie pasją o wolnych sobotach dla uczniów. Zgadzam się z nim co do słowa. Te „weekendy dla ucznia" (a może chodziło o nauczycieli?) to absurd nie mający wzorca nigdzie na świecie.

W tym samym numerze Tomasz Soldenhoff zaczyna swoje criminal story o Zespole Szkół Budowlanych nr 2 w Łodzi. Zespół ten miał nauczać rzadkiego zawodu sztukatora, czyli murarza z żyłką artystyczno-konserwatorską. Na bardzo gorzkim, bardzo „rozrachunkowym" zebraniu rodzice uczniów tej szkoły stwierdzają głośno i publicznie: *Nasze dzieci po trzech latach nauki nie mają zielonego pojęcia o tym, co robią konserwatorzy.* Jeden z uczniów pyta: *Czy w ciągu jednej godziny tygodniowo można się wystarczająco nauczyć chemii? Czy można odrobić straty z historii?*

Co właściwie potrafią robić nasze dzieci? — pytają stroskane matki. A młodzież z drugiego kąta sali odpowiada po raz pierwszy tak odważnie, aż sama się swej odwagi boi: *Nic! Z czym pójdę w Polskę? Przecież ośmieszymy naszą szkołę! My nic nie umiemy robić!*

Jeśli ta jedna godzina chemii tygodniowo przypadała w sobotę, to w bieżącym roku szkolnym nie będzie jej wcale. Jeżeli nie starczało czasu na pracownie praktyczne, to teraz nie ma już co o pracowniach marzyć, chyba że jeszcze raz kosztem nie tylko historii i chemii, ale zwykłej umiejętności czytania i rachunków.

Z ankiety w tejże szkole wynikło, że uczniowie spędzają średnio 25 godzin tygodniowo przed telewizorem. Mając wolną sobotę, będą spędzać trzydzieści godzin i to będzie jedyny „zysk" całej operacji. Czego się przy tym nauczą, to nie wiem.

GODZINA CHEMII

W „Literaturze" z 27 sierpnia br. znakomite uwagi o pracy w ogóle podaje Stanisław Zdzienicki, wieloletni dyrektor zakładu przemysłowego. Jest między tymi uwagami jedna przerażająca: *Wyrysować dla losowo wybranej fabryki krzywą odmładzania załogi i krzywą spadku wydajności. Krzywe te przedziwnie się pokrywają.* Czyli — czym młodsza załoga, tym mniejsza wydajność pracy. Przerażające! Przepracowałem w przemyśle całe życie i z własnej obserwacji mógłbym powiedzieć to samo, ale nie chciałem pozwolić sobie na możliwą niesprawiedliwość. Teraz moje wrażenia znalazły potwierdzenie. Czytałem też niedawno — niestety, nie zanotowałem źródła — że największa absencja chorobowa dotyczy najmłodszych roczników zatrudnionych, i to mężczyzn! Nie chodzi więc o macierzyństwo i wszystkie kłopoty młodych kobiet. Czy młodzież męska, chowana w warunkach o jakich nie śniło się mojemu pokoleniu, jest naprawdę taka słabiutka? Czy może bardziej lubi chodzić po „L-4"?

Ankieta socjologiczna, przeprowadzona wśród studentów w Łodzi, dała w wyniku między innymi informację („Odgłosy" z 23 sierpnia br., wywiad z doktorem Edmundem Lewandowskim), że 31 procent (!) młodych ludzi najchętniej wyjechałoby z Polski n a s t a ł e. To właśnie ci młodzi ludzie, którzy przy każdej okazji i bez żadnej okazji wymachują sztandarem narodowym i śpiewają z przejęciem siódmy hymn polski: „Żeby Polska była Polską..." Żeby była, ale bez nich. Im lepiej by się wiodło na stepach australijskich i w slumsach Republiki Federalnej. A dlaczego siódmy hymn? Bo za mojej pamięci tylko stojąc na baczność i z dreszczem w plecach śpiewało się już „Czerwony Sztandar", „Rotę", „Mazurka Dąbrowskiego", „Boże, coś Polskę", „Pierwszą Brygadę" i „Czerwone maki..."

Do tej ankiety może jeszcze wrócimy — bardzo dużo daje do myślenia. Tymczasem kończę felieton, bo zaczyna być nazbyt czarno. Nie w felietonie, tylko wokół nas.

ĆWIEK

FRYZURY

Rys. ANDRZEJ GRUN

TELEWIZJA

BYT I ŚWIADOMOŚĆ

Byt kształtuje świadomość. Zatem „głupota przybiera rozmiary normalne" — żeby posłużyć się jeszcze jednym cytatem, tym razem z Różewicza, choć hipoteza to dość ryzykowana. Niestety rzeczywistość wciąż ją potwierdza nowymi przykładami. W kolejce po musztardę („pani, dają po trzy słoiki!") opowiada się jak to w stoisku na piętrze rozdrapywano garnitury bez względu na rozmiar i fason mankietów (też po trzy). W tamtym z kolei ogonku obśmiewano się z tych, którzy ogołocili sklep z artykułami sportowymi bijąc się o leżaki i ogrodowe krzesełka. Jeszcze nie tak dawno handlowcy zachodzili w głowę jak pozbyć się bubli rozpierających magazyny. Teraz z drżeniem rąk (za drzwiami już stoi kontrola) sprzedają wszystko co tylko hurt dostarczy. Jednym słowem rynek się wściekł, myśmy poszaleli, a „rząd nic nie robi"! Jak tak dalej pójdzie (a że pójdzie nie ma żadnych wątpliwości) dokerzy w portach zablokują eksport nie tylko szynek i bekonów, nie tylko ogórków i kompotów ze śliwek (nie nie zmyślam) ale wywóz czegokolwiek.

Tej ostatniej sprawie poświęcił swój udział w audycji „Sudia 2" „Co słychać w Polsce" (sobota 12 września) dziennikarz z Gdańska. Obejrzeliśmy kontenery i magazyny. Kilku pracowników mówiło, że „nasze żony i nasze dzieci". Dyrektor solennie zapewniał, że nic — mimo blokady — się nie zmarnowało, a przewodniczący Tarasiewicz powoływał się na uchwałę nr 4/81 Zarządu Regionu. Uchwała, zdaje się, mówi o wstrzymywaniu eksportu mięsa i jego przetworów, ale o tym już dziennikarz z Gdańska nie powiedział. Poinformował za to, że dokerzy po wyjaśnieniach pani z „Agrosu" zrezygnowali z blokady artykułów żywnościowych (ogórków i kompotów — o czym także nie dodał, aby nie rozbrajać powagi audycji), natomiast szynki i bekony czekają nadal. „Sądzę, że pokazany państwu program z Gdańska — powiedział dyżurny redaktor „Studia 2" — nie wzbudzi tym razem niczyich zastrzeżeń". Że niby telewizja mówi prawdę. Skądinąd jednakowoż wiadomo, iż prawda o blokadzie jest daleko bardziej skomplikowana, że obrosła w konflikty między związkowcami w samej „Solidarności", że partykularyzm ekonomiczny blokady wcale nie jest sprawą społecznie obojętną itd. Dziennikarze dmuchają na zimne przedstawiając półprawdę, aby nie narazić się na „niczyje zastrzeżenia".

Redaktor Marek Markiewicz bez mała przez tydzień relacjonował w „Wiadomościach" (za pośrednictwem taśmy magnetofonowej) obrady I Krajowego Zjazdu „Solidarności". Z całą pewnością były te relacje częściowym uzupełnieniem naszej wiedzy o Zjeździe. Po powrocie z Gdańska zasiadł przed kamerami w charakterze gościa z którym Dariusz Woszczalski próbował przeprowadzić wywiad. Piszę „próbował", bo redaktor Markiewicz sam sobie zadawał pytania. Przyznam się, iż odbierałem jego wypowiedzi jak spostrzeżenia turysty, a nie aktywnego uczestnika Zjazdu. Pewnie, że ważna jest atmosfera, której „nie zapomni się do końca życia", że msze i szpalery, że entuzjazm. Interesowałoby mnie— jak zapewne wszystkich telewidzów —czym ten Zjazd i jego uchwały był dla jego uczestników, jak należy ocenić jego rezultaty odnosząc je do oczekiwań milionów członków itd. Pytań nasuwa się więcej. Może zatem warto wrócić do tamtych dni i zracjonalizować emocje?

Janusz Peciak i jego pięciobojowi koledzy nie zechcieli się wpisać w obowiązującą poetykę totalnego kryzysu. Zdobyli złote medale w stylu godnym pełnych „sukcesów" lat siedemdziesiątych. Telewizja tym razem owym złotem nie wiele się przejęła. Nie było bezpośredniej transmisji, nie było kwiatów, ni fanfar w studio. Z jednej skrajności popadamy w drugą. Ano, byt kształtuje świadomość.

Kazimierz Żórawski, zastępując w relacjach z festiwalu gdańskiego Annę Brzozowską (nie najwyższego lotu są te jej komentarze i informacje), przeprowadził wywiady z Ochalskim, Płażewskim i wiceministrem Mielcarkiem na temat reformy w kinematografii. Chodzi o to — oczywiście — aby była ona samodzielna, samorządna i samofinansująca się. I tak entuzjastyczna samowiara w możliwości polskiego kina w wypowiedzi Ochalskiego (Saint Justa rewolucji kinemotograficznej) stonowana ostrożnie przez Płażewskiego, natknęła się na wyrozumiały pragmatyzm wiceministra. Polski film zarobi na siebie — zapewniał Ochalski. Jakże chciałoby się w to wierzyć! Niestety tu nie obowiązuje rynek producenta. Żeby zapędzić publiczność do kin „Czułe miejsca" kują eksport nie tylko szynek i bekonów, nie tylko ogórków i kompotów ze śliwek (nic nie Andrejewa reklamuje się hasłem „Sex i jazz" (patrz reklamy w Życiu Warszawy"). Bez mecenasa się nie obejdzie. Tę tymczasową hossę (zresztą niewielką) nakręcają trzy tytuły „Robotnicy 80", „Jan Paweł II w Polsce" i „Człowiek z żelaza". Co będzie dalej? Chyba że sex i jazz.

Dyrektorzy w Radiokomitecie zmieniają się w tempie przesileń gabinetowych we Włoszech (nie trzeba teraz odwoływać się aż do Italii). Każda zmiana napawa nadzieją. Dzięki nominacji Andrzeja Kurza (wieloletniego uprzednio dyrektora Wydawnictwa Literackiego) można oczekiwać, iż może tym razem literatura zdoła się przebić na małe ekrany. Póki co obejrzeliśmy bardzo dobry spektakl Zbigniewa Zapasiewicza „Pan Cogito" według wierszy Zbigniewa Herberta. Wydany w 1974 roku w nakładzie 10 tysięcy tomik tego wybitnego poety postanowiła telewizja przekazać kilkudziesięciomilionowej widowni w teatrze poniedziałkowym. To tak jakby w piekarni (przepraszam ministra Krasińskiego za porównanie), sprzedawać ni stąd ni zowąd rzadkie owoce z wysp Bali. Polityka programowa nigdy nie była najmocniejszą stroną naszej TvP. Igraszki trafu i zadziwiających zaskoczeń trwają nadal. Czy zobaczymy wreszcie serial „Do krwi ostatniej"? Czy najnowsza historia wciąż ma istnieć w ulotkach i tzw. dokumentach małej poligrafii?

GRZEGORZ GAZDA

ŚWIAT Z BOKU

EGZAMIN Z ORGANIZACJI

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że codziennie po udokumentowaniu swej obecności w biurach i fabrykach część załogi opuszcza stanowiska pracy i wychodzi na ulice, by zająć miejsce w kolejkach po żywność, papierosy i inne artykuły dostarczane do sklepów i sprzedawane wyłącznie w godzinach przedpołudniowych. Często kolejki te prowadzą do nikąd, ponieważ handel tak konsekwentnie przestrzega tajemnicy służbowej, że klienci nawet ci z uzdolnieniami szpiegowskimi, nie mogą się dowiedzieć gdzie, kiedy i jaki towar będzie sprzedawany. Jedyna odpowiedź, jakiej potrafią udzielić handlowcy na takie pytania, to „Stój, stój, czuwaj". Tak, jak gdyby chodziło o wojenne transporty z USA do Murmańska a nie o przewóz towarów z magazynów do sklepów. Brak jest jakichkolwiek harmonogramów dostaw, które byłyby dostępne dla klientów. Stoją więc ludzie i niepotrzebnie marnują czas, zamiast pracować i zapełniać swymi wyrobami półki sklepowe. O tym czy kupią to, o co im chodzi, dowiadują się dopiero przy ladzie, po przyjęciu towaru przez sklep i po rozpoczęciu sprzedaży. Wprawdzie w działach zbytu, w magazynach i sklepach są telefony, które ewentualnie można by wykorzystać także do celów służbowych, lecz po co rozpieszczać klientów informacjami o towarze. Czekanie w sklepie jest bezpłatne, sklep nie pobiera od klientów czynszu, więc nie ma sprawy. Zupełnie wystarczy napis na ścianie „Nasz klient — nasz pan".

Chciałoby się też usprawnić samą sprzedaż, zwłaszcza w sklepach mięsnych, przez przerzucenie tam części personelu ze sklepów przemysłowych, które cierpią na chroniczny brak towarów. Z góry jednak jestem przekonany, że to zupełnie niemożliwe. Jeszcze w tej chwili nie wiem dlaczego, ale z pewnością mi to wytłumaczą przedstawiciele handlu podczas wywiadów w telewizji lub w prasie. Może im bowiem zabraknąć czasu na poprawę organizacji handlu, lecz nigdy nie zabraknie go na przygotowanie się do dyskusji na ten temat.

To samo zresztą odnosi się do wielu innych dziedzin gospodarki.

W tej sytuacji nie bardzo bym się nawet zdziwił, gdyby mnie usiłowano przekonać, że w mocno już przerzedzonych, lecz działających jeszcze tu i ówdzie zakładach gastronomicznych, w trosce o konsumenta powinna obowiązywać przerwa obiadowa.

Ewolucja: pracownik — klient — pacjent trwa.

JAN WALEK

1/3 mini magazynek

HASŁO NUMERU: Gdzie drwa rąbią, tam trzeba będzie czegoś na podpałkę.

KONIEC ŁBA czyli nudne czasy

Żona wychodząc rano do pracy zostawiła mi listę postulatów i tym razem ja musiałem iść na szychtę po III gatunek.

Idę, patrzę już z daleka, niby kolejka, a niby nie kolejka. Nie ma łba i ludzie stoją po kolei. Więc nie kolejka. Co jest, myślę sobie. Nowy kryzys jakiś?

Ale nie... Jak już dochodziłem, łeb się wytoczył zza węgla i zaczął wrzeszczeć, handryczyć się jak zwykle, a nawet więcej. W porządku, myślę sobie. Coś jest.

Ale gdzie tam. Nie w porządku. Łeb wrzeszczy cały rozdygotany, jakby szynka była, albo kabanosy. A wiadomo, że nie ma. Podchodzę bliżej, jakiś facet stoi i coś notuje. Przy tych, co stoją po kolei. A łeb wrzeszczy, że to manipulacja (fakt, widzę jeden taki z tego łba manipuluje jakąś w tłoku zręcznie), że oni, to znaczy łeb, nigdy się na takie coś nie zgodzą, że do Prezydenta pójdą, albo i do Macha nawet.

Co jest? Widzę, a facet stoi i pisze. Stoi i skrobie. Co rusz ktoś do niego podchodzi i mówi. Petycję piszą, albo protest, albo może referendum jest już jakie? Przepchałem się wreszcie do samego przodu, fakt, manipulując trochę, bo inaczej by się nie dało i widzę — facet listę pisze. Kolejkową.

No to wtedy zrozumiałem co się stało, ten zamach stanu, nowe rządy. Facet z Komitetu Założycielskiego Niezależnych, Samorządnych Staczy Kolejkowych listę zrobił i w ten sposób łeb dostał w łeb. Nie ma już gadania, że ta stała od przedwczoraj, a tuż za nią mąż żony szwagra i sąsiadka z dołu. Nikt się na to nie nabierze, jak czarno na białym stoi na liście kto za kim stoi. Stąd wrzask.

Zapisałem się. Numer 326. Łeb furczał, wrzeszczał, aż wreszcie wziął się na sposób (tak myślał), kontr-komitet założył i swoją listę i dalej się wpychać, już niby legalnie. Aleśmy go przegonili, to do drugiego sklepu poszły, już samorządnie i po kolei.

Poszedł łeb, cisza w uszach aż dzwoni, nudno. Byłem w trzydziestej trzeciej dziesiątce zapisany, więc czasu miałem sporo. Poszłem do kiosku po papierosy, tam też był Komitet, to i szybko się obsprawiłem. W mojej kolejce spokój, jakieś dziesięć dziesiątek dopiero przeszło, to poszedłem dalej. I tak kupiłem proszek. Później śmietanę. W innym sklepie ser żółty. A dalej jeszcze pastę do zębów (też przez Komitet). I tak wreszcie przyszedł czas na mnie, akurat wchodziła moja dziesiątka, wszedłem jak po swoje i kupiłem III gatunek.

Do domu wróciłem obładowany jak nigdy. Siedzę, siedzę, nudno. Nie ma już co robić. Patałętam się z kąta w kąt. W kolejkę by jakaś pójść? Ale nie ma już po co. Zdrzemnę się, myślę, zanim żona wróci z pracy. Będzie miała niespodziankę. Tyle rzeczy!

Dobre to było dopóty, dopóki żona mnie nie obudziła. Już się rozjaśnia, mówi. Musisz stanąć w kolejce. Mamy jeszcze trochę III gatunku.

Katorżnik

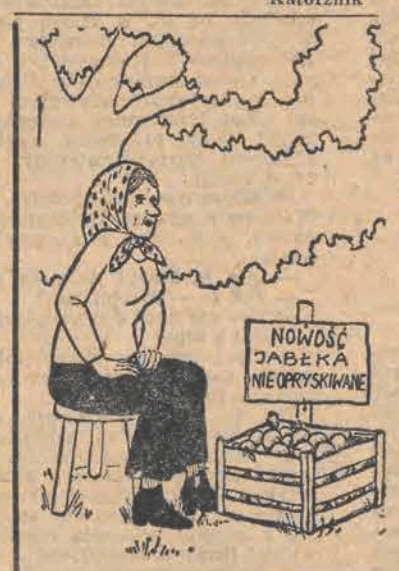

A CO J. URBAN O J. URBANIE

Rzecznik prasowy Rządu, Jerzy Urban, o niefortunnej zgryźliwej wypowiedzi Mariana Jurczyka, wygłoszonej w trakcie konferencji prasowej NSZZ „Solidarność" 3 września br.:

„(...) Wypowiedź ob. Mariana Jurczyka stanowi zniesławienie i obrazę rządu oraz wicepremiera Mieczysława Rakowskiego osobiście. Zdaje się ona znamionować zaostrzenie przez niektórych działaczy NSZZ „Solidarność" form walki z władzą. Walki — nie partnerstwa, które wyklucza używanie języka przepojonego wrogością, a także przypisywanie działaczom państwa nieuczciwych intencji. Wystąpienie ob. Mariana Jurczyka stanowi objaw zdziczenia w życiu publicznym. (...)".

Felietonista Jerzy Urban pisze w „Szpilkach" 6 bm.: „(...) Symbolem taniości jest nasz Sejm dystyngowany, gdzie godzinami ciekną popisy oratorskie i pieprzenie na tematy dowolne wywodzone od Adama i Ewy. Wiele przemówień, jak się zdaje, piszą posłom prowincjonalni grafomani(...). Nawet gwiazda retoryki parlamentarnej, poseł Osmańczyk, który ma już swoją publiczność tak jak Fronczewski, czy Olbrychski, mimo że to człowiek bywały raczej w świecie, niż na powiatowych zjazdach kierowników świetlic gminnych — gulgocze wzniośle o ojczyźnie i w swej mowie potrafi zacytować pół cudzej mowy, wygłoszonej gdzie indziej.(...)".

W sprawozdaniu „Życia Warszawy" ze spotkania posłów z sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych z ministrem Józefem Czyrkiem, odbytego 10 września:

„Poseł E. Osmańczyk zabrał głos w wielu kwestiach, podnosząc m.in. problem felietonu J. Urbana, zamieszczonego w ostatnim numerze „Szpilek". Złożył na ręce min. Czyrka protest wobec dykredytowania w tym tekście posłów Sejmu PRL. W imieniu rządu min. Czyrek przeprosił posła Osmańczyka i wszystkich posłów, za wszystkie sformułowania zawarte w felietonie, które godzą w godność posłów".

Z kół niedobrze poinformowanych dochodzą wieści, iż rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban wyda oświadczenie, w którym potępi niektóre wypowiedzi felietonisty „Szpilek", Jerzego Urbana, zdające się znamionować zaostrzenie przez niektórych dziennikarzy form walki z Sejmem, będących objawem zdziczenia w życiu publicznym".

OGŁOSZENIA DROBNE

• Jajko kupię pilnie. (Potrzebne córce na zajęcia praktyczne do szkoły).
Oferty pod „Ojciec"

• Jako drugi do konkursu na dyrektora wynajmuję się.
„Prawie Magister"

• Mam dosyć.
Jz.

Tygodnik społeczno kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w W[illegible] nr 1153-201045-139; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Rob[illegible] Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-153 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2001. K-16.